



# ACCABADORA

TA, KTÓRA POMAGA ODEJŚĆ

*Michela .  
Murgia*



Świat Książki

**Michaela Murgia**

**Accabadora**

Z włoskiego przełożyła  
*Hanna Borkowska*

---



*Mojej Matce*

*Im obu*

# 1

Duchowe dzieci.

Tak zwą dzieci urodzone dwa razy, z nędzy jednej kobiety i bezpłodności drugiej. Podczas tego drugiego porodu przysła na świat Maria Listru, późny owoc duszy Bonarii Urrai.

Kiedy stara kobieta zatrzymała się pod cytrynowcem, aby porozmawiać z jej matką, Anną Teresą Listru, Maria miała sześć lat i była pomyłką po trzech udanych córkach. Jej siostry były już pannami, tymczasem ona bawiła się samotnie na ziemi, szykując tort z błota wymieszanego z żywymi mrówkami, ze starannością małej gospodyni. Owady poruszały rudymi odnóżami w gęstej masie, z wolna umierając pod dekoracją z polnych kwiatów i cukru z piasku. W palącym lipcowym słońcu ciasto rosło jej w dłoniach, piękne, jak to czasem bywają złe rzeczy. Kiedy dziewczynka uniosła głowę znad błota, obok, pod światło, ujrzała ciocię Bonarię Urrai, która uśmiechała się z rękami złożonymi na chudym brzuchu, zadowolona z czegoś, co przed chwilą dała jej Anna Teresa Listru. Dopiero po pewnym czasie Maria zrozumiała, co to było.

Jeszcze tego samego dnia odeszła z ciocią Bonarią, dzierząc w jednej dłoni tort z błota, w drugiej kosz pełen świeżych jaj i pietruszki, liche wiatyk dziękczynny.

Pomimo uśmiechu Maria czuła, że miała raczej powód do płaczu,

ale nie potrafiła go nazwać. Kiedy się oddalała, uleciała jej z pamięci twarz matki, jakby zapomniała o niej dawno temu, w tej niezwyklej chwili, w której małe dziewczynki samodzielnie decydują, z czym należy zagnieść błoto na tort. Przez wiele lat pamiętała natomiast upalne słońce i stopy cioci Bonarii w sandałach, z których jeden wysuwał się, a drugi znikał pod długą czarną spódnicą w niemym tańcu, w którym nogi z trudem nadążały za rytmem.

Ciocia Bonaria dała Marii łóżko przeznaczone tylko dla niej oraz pokój pełen świętych – wszystkich niedobrych. Tu Maria zrozumiała, że raj nie jest miejscem dla dzieci. Przez dwie noce leżała cicho, czuwając ze wzrokiem utkwionym w ciemność, w nadziei, że zobaczy krwawe łzy lub iskrzenie aureoli. Trzeciej nocy ogarnął ją lęk przed najświętszym sercem ze wskazującym na niego palcem, którego grozę potęgowały trzy różańce zawieszane na piersi pokrytej strużkami krwi. Nie wytrzymała i krzyknęła.

Kiedy po niespełna minucie ciocia Bonaria otworzyła drzwi, zobaczyła Marię, która stała pod ścianą, tuląc w objęciach poduszkę z włochatej wełny, wybraną do roli psa obronnego. Potem ciocia Bonaria popatrzyła na krwawiący posąg, znajdujący się bliżej łóżka, niż sądziła. Wzięła go pod pachę i bez słowa wyniosła z pokoju. Następnego dnia z kredensu zniknęła kropielnica ozdobiona wizerunkiem świętej Rity oraz baranek mistyczny z gipsu, kudłaty jak bezpański pies i groźny jak lew. Po chwili dziewczynka zaczęła odmawiać *Zdrowaś Maryjo*, ale ściszone głosem, żeby Matka Boska nie słyszała i potraktowała ją poważnie w godzinie śmierci naszej amen.

Trudno było odgadnąć, ile lat miała wówczas ciocia Bonaria, były to jednak lata, które dawno już stanęły w miejscu, jakby postarzała

się nagle, z własnej woli, a teraz cierpliwie czekała, aż dogoni ją spóźniony czas. Tymczasem Maria zbyt późno pojawiła się w brzuchu matki i niemal natychmiast przyzwyczała się do myśli, że jest ostatnią z trosk rodziny, która miała ich aż zanadto. Natomiast w domu owej kobiety odnosiła osobliwe wrażenie, że stała się kimś ważnym. Kiedy o poranku zamykała za sobą drzwi, ściskając w rękach szkolny podręcznik, miała pewność, że gdy się odwróci, zobaczy, jak odprowadza ją wzrokiem, oparta o futrynę, jakby przytrzymała drzwi w zawiasach.

Maria o tym nie wiedziała, ale stara kobieta towarzyszyła jej głównie nocą, w te zwyczajne noce bez grzechów, które są głównym powodem bezsenności. Bezszelestnie wchodziła do pokoju, siadała przy łóżku, na którym spała dziewczynka, i obserwowała ją w ciemnościach. W owe noce Maria, przekonana, że jest głównym obiektem troski Bonarii Urrai, spała, nie wiedząc, że jest zarazem jej troską jedyną.

W Soreni wiadomo było aż nazbyt dobrze, dlaczego Anna Teresa Listru oddała najmłodszą córkę starej kobiecie. Niepomna przestróg domowników, zawarła nieudane małżeństwo, przez kolejnych piętnaście lat narzekając na mężczyznę, który – jak się okazało – dobrze robił tylko jedną rzecz. Anna Teresa Listru skarżyła się sąsiadkom, że mąż nie przydał się jej nawet po śmierci, jako że nie zginął na wojnie i nie raczył zostawić jej renty. Sisinnio Listru, niezdolny do służby wojskowej z powodu tępoty, skończył równie głupio, jak żył, zmiażdżony, niczym winogrona w tłoczni, pod traktorem Boreddu Arresiego, dla którego czasem pracował. Anna Teresa Listru, zostawszy wdową z czterema córkami, z kobiety biednej zmieniła się w nędzarkę, nauczyła się więc gotować zupę – jak mawiała – nawet z cienia dzwonnicy. Kiedy



ciocia Bonaria poprosiła, by oddała jej Marię na wychowanie, nie mogła uwierzyć, że będzie mogła codziennie wrzucać do zupy kilka ziemniaków z pola Urrai. Jeśli ceną było dziecko, to trudno – zostały jej jeszcze trzy inne córki.

Doprawdy, nikt nie pojmował, dlaczego ciocia Bonaria Urrai w tym wieku wzięła do swojego domu córkę innej kobiety. Kiedy razem z dziewczynką szła ulicą, zapadało milczenie, kładące się za nimi niczym długi cień, a z ławek w sąsiedztwie dobiegały fragmenty prowadzonych półgłosem rozmów. Bainzu, sprzedawca papierosów, cieszył się z odkrycia, że nawet starzejący się bogacz potrzebuje pomocy, by podetrzeć tyłek. Z kolei Luciana Lodine, starsza córka hydraulika, nie widziała konieczności szukania spadkobiercy, który miałby zatroszczyć się o to, co mogła zrobić każda dobrze opłacona służąca. Ausonia Frau, która na tyłkach znała się lepiej niż pielęgniarka, lubiła kończyć rozmowę sentencją, że nawet lis nie chce zdychać samotnie, i w tym momencie nikt nie miał już nic do dodania.

Rzecz jasna, gdyby Bonaria Urrai nie pochodziła z zamożnej rodziny, skończyłaby podobnie jak wszystkie kobiety, które zostały bez mężczyzny – na pewno nie byłoby jej stać na duchową córkę. Wdowa po mężu, który jej nigdy nie poślubił, w innych warunkach zostałaby dziwką lub żyłaby jak zakonnica w domu czy w klasztorze, z wiecznie zamkniętymi okiennicami, ubrana w czerń do końca swoich dni. Ślubnej sukni pozbawiła ją wojna, choć w wiosce mówiono, że Raffaele Zincu tak naprawdę nie zginął nad Piawą<sup>[1]</sup>. Było bardziej prawdopodobne, że ten spryciarz znalazł sobie jakąś kobietę i nie zadał sobie trudu, by przyjechać i wszystko wyjaśnić. Zapewne dlatego Bonaria Urrai zestarzała się jeszcze w młodości, a jej suknia wydawała się Marii czarniejsza od nocy.

W wiosce pełno było wdów po żyjących mężach; wiedziały o tym miejscowe plotkarki, wiedziała też Bonaria Urrai, więc kiedy każdego ranka wychodziła po świeży chleb do piekarni, szła z podniesionym czołem i nie zatrzymywała się na pogawędki, wracając do domu wyprostowana jak struna.

W podjęciu decyzji o wychowaniu duchowej córki najtrudniejszą sprawą dla Bonarii nie było wścibstwo ludzi, lecz pierwsza reakcja dziewczynki, którą ze sobą przyprowadziła. Po sześciu latach nocy spędzonych na dzieleniu jednego pokoju z trzema siostrami było jasne, że Maria uznawała za swoją przestrzeń długości najwyżej jednego łokcia. Przybycie do domu Bonarii Urrai zakłóciło tę wewnętrzną geografie. W nowym miejscu było tak dużo przestrzeni, że dopiero po kilku tygodniach dziewczynka zrozumiała, że w drzwiach pozamykanych pokoi nie pojawi się ktoś, kto powie: „Nie ruszaj, to moje”. Bonaria Urrai nigdy nie popełniła błędu zaproponowania Marii, aby czuła się jak u siebie w domu, nie mówiła też innych banałów, których używa się dla przypomnienia gościom, że nie przebywają bynajmniej we własnym domu. Postanowiła poczekać, aż puste od wielu lat przestrzenie z wolna dostosują się kształtem do dziewczynki, i kiedy po miesiącu drzwi wszystkich pokoi zostały otwarte, czuła, że postąpiła właściwie, pozwalając działać domowi. Z chwilą, gdy Maria nabrała pewności i zaufania do pomieszczeń, stopniowo zaczęła interesować się kobietą, która sprowadziła ją do tego domu.

– Czyją jesteście córką, ciociu? – spytała pewnego dnia z pełnymi ustami, jedząc zupę.

– Mój ojciec nazywał się Daniele Urrai, to tamten pan...

Bonaria wskazała palcem pociemniałą fotografię wiszącą nad kominkiem, na której Daniele Urrai z wypiętą piersią,



w aksamitnej kamizelce, mógł mieć około trzydziestu lat i zupełnie nie wyglądał na ojca starej kobiety stojącej przed dziewczynką.

– Tu był młody, a mnie nie było jeszcze na świecie – wyjaśniła Bonaria.

– Nie mieliście mamy? – ciągnęła Maria, której najwyraźniej nie przekonywała myśl, że można być córką wyłącznie ojca.

– Oczywiście, że miałam, nazywała się Anna. Ona także zmarła dawno temu.

– Jak mój ojciec – powiedziała Maria poważnym tonem. – Czasem to robią.

Bonarię zdziwiły te słowa.

– Co?

– To. Umierają, zanim się urodzimy. – Maria patrzyła na nią spokojnie. Po chwili dodała z niechęcią: – Mówiła mi o tym Rita, córka Angeli Muntoni. Jej tata także zmarł wcześniej.

Podczas tych objaśnień łyżka poruszała się w powietrzu niczym smyczek muzyka.

– Tak, niektórzy to robią. Ale nie wszyscy – stwierdziła Bonaria, patrząc na dziewczynkę z niewyraźnym uśmiechem.

– Pewnie, że nie wszyscy – zgodziła się Maria. – Jedno przynajmniej musi zostać. Ze względu na dzieci. Dlatego rodziców jest zawsze dwoje.

Bonaria przytaknęła skinieniem głowy, zanurzając łyżkę w zupie, przekonana, że rozmowa dobiegła końca.

– Was też było dwoje?

Bonaria w końcu zrozumiała i nie przerywając jedzenia, odparła niemal obojętnym tonem, jakim mówiła do tej pory:

– Tak, było nas dwoje. Mój mąż także zmarł.

– Ojej, zmarł... – zawtórowała Maria, wahając się, czy ma

odczuwać ulgę, czy smutek.

– Tak – stwierdziła Bonaria poważnie. – Czasem to robią.

Dziewczynka, pocieszona tym podsumowaniem, ponownie zaczęła dmuchać na zupę. Co pewien czas, podnosząc wzrok znad parującej łyżki, napotykała spojrzenie cioci Bonarii i miała ochotę się roześmiać.

Od tej pory, kiedy Bonaria wychodziła rano po chleb, Maria czekała na nią, siedząc na stole w kuchni, dyndała nogami i w milczeniu liczyła uderzenia gumowego buta o krzesło, do ilu potrafiła. Kiedy doliczyła trzy razy do stu, wracała ciocia Bonaria i, zanim dziewczynka poszła do szkoły, jadły ciepły chleb i pieczone figi.

– Jedz, Mario! Musisz jeść, bo rosną ci piersi – mówiła ciocia, uderzając dłonią o własny biust, z którego niewiele pozostało.

Maria ze śmiechem jadła po dwie figi naraz, po czym, jeszcze z ziarnkami owoców między zębami, biegła do swojego pokoju, żeby sprawdzić, gdyż wszystko, co mówiła ciocia Bonaria, było prawem bożym na ziemi. Mimo to w ciągu trzynastu lat mieszkania w jej domu ani razu nie nazwała jej mamą, bo matka to co innego.

---

[1] Rzeka w północnych Włoszech, wzdłuż której w czasie pierwszej wojny światowej przebiegała linia frontu i gdzie toczyły się ciężkie walki – przyp. tłum.

## 2

Przez jakiś czas Maria myślała, że ciocia Bonaria jest krawcową. Szyła całymi godzinami, a jeden z pokoi wypełniony był materiałami i ścinkami tkanin. Do domu przychodziły różne kobiety, żeby zmierzyć spódnice i chustki, a niekiedy też mężczyźni w sprawie spodni i odświętnych koszul. Ciocia Bonaria nie wpuszczała mężczyzn do pokoju z materiałami, przyjmowała ich w salonie, gdzie musieli stać bez ruchu. Klęcząc na ziemi ze skórzanym centymetrem krawieckim, poruszała się zwinnie niczym samica pająka, snując wokół nieruchomych ofiar tajemniczą pajęczynę pomiarów.

Kobiety podczas przymiarek lubiły rozmawiać, opowiadając o swoich sprawach poprzez sprawy innych osób. Natomiast mężczyźni milczeli, posępni i jakby nadzy wobec badawczego spojrzenia Bonarii. Maria obserwowała i zadawała pytania.

– Mężczyźni wstydzą się, kiedy bierzecie miarę, bo jesteście kobietą, prawda?

Bonaria Urrai spojrzała na dziewczynkę byстрым wzrokiem, dziwnie niepasującym do pomarszczonej, surowej twarzy.

– Ależ skąd, Marieddo! Mężczyźni czują strach, a nie wstyd. Dobrze wiedzą, jakie to palto mogłabym im zgotować. – I zaśmiała się cicho, potrząsając mocno tkaniną, żeby ją rozprostować.

Strach czy nie strach, klienci przybywali także z innych wiosek, nawet z Illamari i Luvè, przed weselem czy świętem albo tylko po to, żeby uszyć nowe niedzielne ubranie. W niektóre dni dom przypominał targ z metrami tkaniny rozłożonej na oparciach krzeseł, dla lepszego wyobrażenia fałd spódnic i haftów. Maria siadała, żeby popatrzeć, gotowa podać szpilkę lub kredę do zaznaczenia długości na brzegu tkaniny.

Pewnego dnia przyszedł w sprawie spodni ze swoją służącą Boriccu Silai ze spółki kopalnianej. Dziewczyna mogła mieć około szesnastu lat, nazywała się Annagrazia i miała ospowatą twarz o oczach podobnych do ślimaków bez skorupki. Stała w milczeniu przy ścianie, dzierżąc torbę z co najmniej czterema metrami gładkiego aksamitu, na który mogli sobie pozwolić jedynie ludzie bogaci. Ale ciocia Bonaria nie popadła w zakłopotanie i ze zwykłą sobie starannością wzięła miarę z mężczyzny, przyglądając się kształtom poniżej paska doświadczonym okiem osoby, która pojmuje wszystko w lot.

– Po której stronie go trzymacie? – spytała na koniec zgodnie ze zwyczajem pedantycznych krawców, patrząc na rozporek. Boriccu Silai odwrócił się w stronę dziewczyny opartej o ścianę, dając jej znak głową.

– Po lewej – odpowiedziała za niego Annagrazia, utkwiała wzrok w kobiecie i zamilkła. Bonaria przez chwilę patrzyła na nią, po czym powoli zaczęła owijać skórzany centymetr wokół patyka z drzewa cytrynowca. Boriccu czekał na odpowiedź. Kiedy Bonaria odezwała się, sprawiała wrażenie, jakby mówiła do kogoś innego.

– Myślę, że na świętego Ignacego nie dam rady. Spróbujcie u Rosy Cadinu, która potrzebuje pracy.

Boriccu Silai i ciocia Bonaria stali nieruchomo, patrząc na siebie

w milczeniu. Po chwili mężczyzna ze służącą wyszli z domu bez pożegnania – i tak padło już zbyt wiele słów. Zamknąwszy za nimi drzwi, ciocia Bonaria odwróciła się do Marii z głębokim westchnieniem i wsunęła centymetr do kieszeni rozdartego fartucha.

– Niech idą do diabła, straciłam tylko czas... Ale lepiej nie znać dokładnych wymiarów niektórych rzeczy. Rozumiesz?

Maria nic nie rozumiała, ale na wszelki wypadek kiwnęła przytakująco głową, bo nie wszystkie usłyszane rzeczy od razu się rozumie. Zresztą wtedy jeszcze myślała, że ciocia Bonaria jest z zawodu krawcową.

Kiedy po raz pierwszy zauważyła, że ciocia Bonaria wychodzi nocą, miała osiem lat, był środek zimy 1955 roku, tuż po święcie Trzech Króli. Za zgodą cioci bawiła się aż do wybicia zegara na *Zdrowaś Maryjo*, po czym Bonaria odprowadziła ją do pokoju, przyspieszając nadejście ciemności przez zamknięcie okiennic i wypełnienie piecyka żarem oraz gorącym popiołem.

– Idź spać, bo jutro musisz wcześniej wstać, żeby iść do szkoły.

Maria prawie nigdy nie dała się nabrać na tę parodię nocy, niekiedy całymi godzinami nie spała, wpatrując się w sufit i obserwując cienie dopalającego się żaru.

Nie spała, kiedy nagle usłyszała pukanie do drzwi oraz stłumiony głos człowieka, który mówił zbyt cicho, aby mogła go rozpoznać. Leżąc nieruchomo pod kołdrą, wśród czerwonych cieni, wyraźnie usłyszała otwieranie drzwi wejściowych oraz znajomy odgłos kroków cioci Bonarii, która wyszła z domu i po kilku minutach wróciła. Dziewczynka wstała z łóżka, nie bacząc na zimną posadzkę pod bosymi stopami, i po omacku skierowała się do drzwi, w ciemnościach potrącając nocnik. Zanim wyszła z pokoju,

ciocia Bonaria zorientowała się, że nie śpi.

– Dziecko! – ostrzegła półgłosem stojącego w drzwiach mężczyznę, ukrytego w cieniu. Był wysoki, barczysty, jego sylwetka wydała się Marii znajoma, zanim jednak zdążyła przypisać mu tożsamość, ujrzała przed sobą ciocię z surową miną, w czarnym stroju i długim wełnianym szalu, który nakładała tylko w święta kościelne. Owinęła nim starannie swoje szczupłe ciało, ukrywając kształty oraz powód nocnego wyjścia.

– Wracaj do swojego pokoju!

Maria nie widziała jej twarzy, więc zapewne dlatego ośmieliła się zapytać:

– Ciociu, gdzie idziecie? Co się dzieje?

– Zaraz wracam. Idź do swojego pokoju!

Jej słowa nie brzmiały jak prośba, zostały powiedziane o jeden raz za dużo, w dodatku w obecności nieznanego. Maria w milczeniu cofnęła się przez uchylone drzwi do pokoju. Bonaria trwała w bezruchu, czekając, aż je zamknie, i nakazując gościowi, by zaczekał razem z nią. Maria czaiła się za drzwiami do chwili, gdy usłyszała, że obydwójce poruszają się w pośpiechu i wychodzą z domu, który pogrążył się w martwej ciszy. Otępiała z zimna, stała nieruchomo i czekała, odruchowo pukając palcem w drewnianą futrynę i licząc uderzenia. Ale kiedy trzykrotnie doliczyła do stu, Bonarii Urrai wciąż nie było. Zrezygnowana, powróciła do łóżka, lecz nie czuła senności. Po chwili w miłym ciepłe pomieszczenia nieoczekiwanie zmorzył ją sen. Kiedy stara kobieta wróciła, Maria spała i niczego nie zauważyła. Tym lepiej.

Następnego ranka dziewczynkę obudziły znajome odgłosy domu. Nocne pytania uleciały wraz z zapachem ostygniętego popiołu. Ubrała się i poszła poszukać Bonarii. Zastała ją w salonie, gdzie potrząsała



kawałkiem materiału, żeby otrzepać go z kurzu i rozprostować. Przypominała ptaka z jednym skrzydłem. Kiedy zauważyła Marię, przerwała.

– Nigdy więcej nie może się powtórzyć to, co zrobiłaś wczoraj – powiedziała.

Rozkaz zabrzmiał ostro jak smagnięcie biczem, a groźny ton pozbawił Marię chęci zadawania pytań. W tej chwili zrozumiała, że mogła stracić rzeczy cenniejsze niż sen. Twarz kobiety się rozpogodziła, a kiedy składała wytrzepany materiał, zaproponowała Marii posiłek.

– A teraz zjedz śniadanie, bo mamy dzisiaj dużo zajęć.

Włożyła jej odświętną sukienkę, sama też ubrała się jak na święto, przywdziewając żałobną spódnicę, choć był to wtorek, dzień powszedni. Kiedy zaplatała sobie siwe włosy, stojąc przy oknie ze wzrokiem utkwionym w szybę, cień malował na jej twarzy wzór utkany z minionych dni. Wśród fałd sukni oraz zmarszczek kobiety Maria po raz pierwszy dostrzegła ślady jej dawnej urody i zasmucił ją brak kogoś, kto zachował ją w pamięci.

– Dokąd idziemy, ciociu?

Bonaria nakryła głowę najczarniejszą ze swoich chust, z jedwabiu z długimi frędzlami, które łatwo się supłały. Potem zwróciła się do dziewczynki z dziwnym wyrazem szczupłej twarzy:

– Złożyć kondolencje Racheli Littorra, która straciła męża. To nasz sąsiedzki obowiązek.

Jak zawsze szła szybkim krokiem i Maria z trudem za nią nadążała mimo zwiewnej, białej sukieneczki, o wiele lżejszej od długiej spódnicy Bonarii. Dom zmarłego znajdował się niedaleko, ale już z odległości stu metrów słysząc było ponurą pieśń żałobną. Za każdym razem, kiedy pobrzmiwał ów lament o prymitywnej

melodii, miało się wrażenie, że w Soreni śpiewa się o cierpieniach wszystkich mieszkańców, żywych i zmarłych, ponieważ żałoba jednej rodziny budziła wspomnienia o wszystkich poprzednich żałobach. Zamykano wówczas okiennice w sąsiedztwie, zasłaniając oczy domów od słońca, a ludzie spieszyli opłakiwać swoich zmarłych w obecnym zmarłym za pośrednictwem osoby, której zabrakło.

Tego dnia nieboszczyk leżał na łóżku pośrodku dużego przedpokoju, z obutymi stopami zwróconymi w stronę wejścia. Choć miał być złożony w ziemi, ubrano go jak na święto, w ciemny garnitur, który włożył w dniu ślubu, kiedy był szczupły, zdrowy i decydował o swoim życiu. Mimo że znajdował się w pozycji leżącej, guziki na brzuchu były naprężone. Pomieszczenie wypełniały urywane westchnienia kobiet, a mężczyźni stali nieruchomo przy ścianie niczym strażnicy. Płaczka zaintonowała płacz podobny do pieśni. Jej żałosny głos zdawał się dobywać z dołu, spod kolan klęczących na ziemi. Zawtórowały jej inne kobiety, zawodząc rytmicznie w posępnym chórze, do którego ciocia Bonaria najwyraźniej nie miała zamiaru dołączyć. Powiedziała Marii, żeby na nią zaczekała, po czym podeszła do wdowy Racheli Littorra, która siedziała na krześle tuż obok głowy zmarłego, kiwając się w milczeniu, podczas gdy inne kobiety płakały zamiast niej. Na widok cioci Bonarii ocknęła się z odrętwienia i podniosła z krzesła, żeby się przywitać.

– Moja droga siostró! Bóg zapłać za wszystko...

Przez chwilę opłacony śpiew płaczki zagłuszył jej okrzyk. Pozostałe słowa stłumił czarny wełniany szal cioci Bonarii, w którym wdowa zanurzyła twarz, wybuchając płaczem i ściągając spojrzenia zebranych. Racheli Littorra uspokoiła się dopiero

wtedy, kiedy Bonaria szepnęła jej coś do ucha, głaszcząc ją po głowie z delikatnością, której Maria nigdy dotąd nie widziała.

Tymczasem płaczka zmieniła ton, deklamując improwizowany wiersz pełen ozdobników, będący hymnem pochwalnym na cześć zmarłego. Słuchając tych wykrzykiwanych rymów, odnosiło się wrażenie, że nie narodził się jeszcze człowiek lepszy od Giacoma Littorri, o którym wszyscy wiedzieli, że był skąpcem, bezlitosnym dla innych, podobnie jak los był bezlitosny dla niego. Podczas gdy płaczka lamentowała, udając, że wyrywa zębami kawałek rękawa, Maria czytała w oczach zebranych, co naprawdę myślała o zmarłym, przyglądając się im po kolei, bez podnoszenia zbytnio wzroku.

Wtedy właśnie dostrzegła tego człowieka.

Syn zmarłego stał przy ścianie za krzesłem matki, z kapeluszem w dłoni, najwyższy spośród zebranych mężczyzn. Santino Littorra wpatrywał się w sztywne ciało ojca, jakby zahipnotyzowany udawanym żalem płaczki. Maria rozpoznała szerokie ramiona oraz umiejętność cierpliwego czekania, które podpatrzyła u niego ubiegłej nocy. Osiem lat to za mało, żeby wszystko zrozumieć, ale wystarczająco, by wyczuć, że było coś do zrozumienia. Kiedy po około dwóch godzinach wracały do domu, Maria szła powoli, jakby niosła ciężar, ale był to chyba ostatni raz, kiedy pozostała w tyle za ciocią Bonarią.

### 3

Przez pięć lat Bonaria Urrai nie wychodziła z domu nocą albo też Maria tego nie zauważyła, przejęta odkryciem, że stała się wreszcie jej prawowitą córką. Ten fakt wywołał pozytywny skutek, kiedy bowiem dziewczynka była w piątej klasie szkoły podstawowej, mieszkańcy Soreni dawno już przystali na tę dziwną relację. Nie mówiono już o niej w miejscowych barach, a podczas wieczornych rozmów na progach domów sprawa kobiety z dziewczynką ustąpiła miejsca nowszym lub bardziej pikantnym tematom. Mimowolnie przyczyniła się do tego szesnastoletnia córka Rosanny Sinnai, która zaszła w ciążę nie wiadomo z kim, co w dużym stopniu ożywiło działalność plotkarzy. Z chwilą, gdy ustały szepty za plecami, ktoś inny na ich miejscu zdziwiłby się, że stało się to tak szybko, ponieważ w miejscu, gdzie działo się niewiele ciekawych rzeczy, podobne wydarzenie mogło budzić zainteresowanie przez jedno pokolenie. Ale Bonaria Urrai nie zdziwiła się, już bowiem od pierwszej chwili dążyła do stworzenia normalnej relacji z Marią. Stara krawcowa od początku zachowywała się tak, jakby to ona wydała na świat dziewczynkę, pozwalając jej kręcić się po domu, kiedy ktoś przychodził z wizytą, i zabierając ją wszędzie ze sobą, aby ludzie nasycili, aż do udławienia się, palącą ciekawość co do natury tego dobrowolnego macierzyństwa. Natomiast Maria,

przywykła do postrzegania siebie jako istoty mało znaczącej, potrzebowała czasu, aby zrozumieć, że jest kimś ważnym. Jej matka, Anna Teresa Listru, kobieta zafascynowana wszelkiego rodzaju numerowaniem, przyzwyczaiała dziewczynkę do wyobrażania siebie w szeregu sióstr zgodnie z rytualnym, zawsze identycznym schematem:

„Kim jest ta śliczna dziewczynka?”.

„To ostatnia córka”. Albo po prostu: „Czwarta z kolei”.

Piętno klasyfikacji, rodem z biegów przełajowych, było tak trwałe, że początkowo Maria musiała ugryźć się w język, żeby nie przedstawić się jako ostatnia lub czwarta z kolei. Bonaria nie mogła tego wiedzieć, choć musiała się domyślać, gdy bowiem chodziło o przedstawienie dziewczynki obcej osobie, zawsze ją ubiegała, mówiąc:

„To jest Maria”.

I to bycie po prostu Marią musiało wystarczyć także ludziom, którzy pragnęli dowiedzieć się czegoś więcej. Mieszkańcy Soreni stopniowo oswajali się, aż w końcu pojęli sens owej tajemniczej liturgii i nagle wszystko wydało się im takie jak zawsze, dusza i duchowa córka, mniej naganny sposób bycia matką i córką. Tylko raz ktoś poprosił Bonarię o wyjaśnienia dotyczące Marii, pytając o coś więcej niż o jej imię, i epizod ten miał istotne znaczenie dla późniejszych wydarzeń.

Dzieci z piątej B nie mogły uwierzyć, że Luciana, ich pani, ma pięćdziesiąt lat, ponieważ była zbyt ładna jak na starą kobietę, ładna w ten niepokojący sposób, jaki wyróżnia kobiety spoza Soreni. Przed wielu laty poślubiła Giuseppe Melego, właściciela ziemskiego z Soreni, który zajmował się uprawą pól ryżowych i często wyjeżdżał na półwysep w interesach dotyczących eksportu

sardyńskiego ryżu. Tam Giuseppe poznał szczupłą dziewczynę wywodzącą się z piemonckiego drobnomieszczaństwa: kulturalną nauczycielkę o oczach zielonych jak nefryt, barwy nietypowej nawet wśród dziewcząt z jej eleganckiego świata. Ku zaskoczeniu rodziny i przyjaciół Luciana Tellani zgodziła się z nim wyjechać, nie oglądając się wstecz, a choć nauczała w Soreni od ponad dwudziestu lat, nadal mówiła z akcentem turyńskim. W tym czasie nauczyła czytać i pisać wiele osób, które w zamian uznały ją za pełnoprawną obywatelkę Soreni, okazując jej wdzięczność i szacunek, jakim skromni ludzie często darzą prawdziwych nauczycieli. Turyńska, która u schyłku lat czterdziestych wyszła za wieśniaka Giuseppe Melego, nazywana była w Soreni po prostu panią nauczycielką.

Pani nauczycielka miała jasnoblond włosy sięgające ramion. Nigdy ich nie nakrywała, nawet kiedy szła do kościoła, gdzie jej jasna głowa wyróżniała się spośród innych jak mak w zbożu. Mimo to nie można było powiedzieć o niej niczego złego, z wyjątkiem tego, że jako turyńska była nieco wyższa niż przeciętna mieszkanka Soreni. Drugorzędną wadę, jaką był wysoki wzrost, łatwo wybaczano blondynkom nawet w Soreni. Marii włosy nauczycielki podobały się głównie dlatego, że układały się w loki. Nie były proste i przylegające do głowy jak sierść myszy, która wpadła do oleju, ani kręcone jak u matki, tak splątane, że dłoń nie docierała do skóry głowy. Włosy pani nauczycielki były miękkie i powiewały na wietrze.

– Proszę pani, układa sobie pani włosy żelazkiem, że są takie?

– Co ty wymyślasz, Mario... Miałabym czas, żeby je sobie układać, kiedy czekacie na mnie w klasie?

Nauczycielka lubiła tę inteligentną, nieco zuchwałą dziewczynkę



i z życzliwością zaakceptowała jej dziwną sytuację rodzinną, w czym pomogły jej wyjaśnienia męża i kilku prostych osób, zawsze skorych do rozmowy o trudnościach innych. Tylko raz doszło do spięcia, które wynikało z faktu, że Bonaria Urrai nigdy nie była w szkole, aby zapytać o postępy Marii. Kiedy w dzienniczku dziewczynki pojawiło się zaproszenie pani nauczycielki, ciocia Bonaria spojrzała na Marię surowo.

– Co nabroiłaś?

– Nic! – odparła Maria, rozwiązując zieloną kokardę przy mundurku.

– To dlaczego nauczycielka chce mnie widzieć?

– Nie wiem...

– Musiałaś coś zrobić, bo inaczej nie wzywałyby mnie.

– Nic nie zrobiłam, dobrze się uczę, a wczoraj dostałam nawet piątkę z geometrii!

Bonaria pomogła Marii zdjąć czarny fartuszek i zaprzestała pytań, ale następnego dnia włożyła odświętną spódnicę i udała się do pani nauczycielki. O wyznaczonej porze zapukała do drzwi klasy i po kilku sekundach kobiety stały naprzeciw siebie – nauczycielka w krótkiej garsonce w niebiesko-białą pepitkę, jakie zwykło się nosić w mieście, krawcowa w długiej tradycyjnej spódnicy i czarnym szalu na ramionach. Między nimi było najwyżej dziesięć lat różnicy, ale wydawały się należeć do dwóch różnych pokoleń. Zostawiwszy dzieci pod opieką woźnej, pani nauczycielka wyszła na korytarz, żeby porozmawiać z Bonarią.

– Zmartwiła mnie pani. Maria coś nabroiła?

– Ależ skąd, nie! Zaprosiłam panią, żeby panią poznać. Panuje zwyczaj, że nauczyciel spotyka się od czasu do czasu z rodzicami, aby porozmawiać o postępach dzieci...

Bonaria zauważyła lekkie wahanie w głosie turyнки, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Jeśli tylko o to chodzi, to co powie pani o Marii?

– Jest inteligentna, przykłada się do nauki. Lubi szkołę, zwłaszcza matematykę, zawsze odrabia lekcje. Pomaga jej pani w domu?

– Czasami, ale nie zawsze. Zdarza się, że nie mam czasu albo uczy się rzeczy, o których sama nie mam pojęcia. Skończyłam tylko trzy klasy podstawówki, niewiele się uczyłam.

Ktoś inny, mówiąc te słowa, zaczerwieniłby się ze wstydu albo by ich nie powiedział. Tymczasem Bonaria wytrzymała spojrzenie nauczycielki z pogodną, spokojną twarzą i paradoksalnie to nauczycielka poczuła się zobowiązana do znalezienia usprawiedliwienia.

– To nic nie znaczy, dawniej w trzeciej klasie szkoły podstawowej uczono się łaciny na poziomie piątej klasy obecnego liceum...

Wyszły do ogrodu położonego wokół szkoły i zaczęły spacerować wśród rabat kwiatowych, na które nie zwracały uwagi, skupiając się na rozmowie. Bonaria rzucała nauczycielce krótkie spojrzenia, odwracając ku niej głowę, Luciana co pewien czas spoglądała ukradkiem na zmęczoną twarz rozmówczynie, sądząc, że tego nie widzi.

– To dziwne, wie pani... Ta sprawa duchowego dziecka.

– Dlaczego dziwne? – spytała Bonaria obojętnym tonem.

– Po Marii zupełnie nie widać, że jej przykro. Widuje dawną rodzinę?

– Tak, kiedy tylko zechce. Dlaczego miałyby jej być przykro?

Luciana Tellani wyrzuciła z siebie potok słów, jakby już dawno je przygotowała w oczekiwaniu na spotkanie z tą kobietą.

– Nie wiem, ale dziwi mnie, że kiedy na przykład proszę Marię o narysowanie rodziców, rysuje panią, a nie swoją prawdziwą matkę...

Bonaria nie wydała się zaskoczona tym odkryciem, a ponieważ milczała, zakłopotana nauczycielka ciągnęła dalej:

– Myślę, że to dość osobliwe, iż dziewczynka zostaje zabrana... za zgodą rodziny, oczywiście, w każdym razie opuszcza dom rodzinny tak po prostu, bez urazu psychicznego...

– Nie ma się czemu dziwić, w tych stronach to się zdarza, w Genari jest co najmniej trójka duchowych dzieci, jedno mniej więcej w wieku Marii. – Bonaria się zatrzymała, żeby powtórzyć: – To wcale nie jest dziwne.

Turyńska nie wyglądała na przekonaną, ale nic więcej nie dodała. Potem zaczęły rozmawiać o gorszych ocenach Marii, a po powrocie pod drzwi klasy nauczycielka zamierzała się pożegnać. Ale Bonaria miała jeszcze jedno pytanie.

– Chciałam panią zapytać o rysunki Marii... co miała pani na myśli, mówiąc, że powinna narysować prawdziwą matkę?

Spojrzenie starej krawcowej zdumiało nauczycielkę bardziej niż jej słowa.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, miałam na myśli matkę biologiczną, nie zamierzałam pomniejszać wartości waszej relacji...

– Dla Marii jej biologiczną matką jest ta, którą rysuje, kiedy zostaje poproszona o narysowanie swojej matki.

Być może skłonił ją do tego spokojny, łagodny ton starej kobiety. Albo jej szklany wzrok, którym zdawała się przesywać Lucianę na wskroś. W każdym razie nauczycielka uznała, że rozsądniej będzie nie odpowiadać, więc zacisnęła usta w udawanym uśmiechu. Kobiety rozstały się w milczeniu, ciężkim od dwuznacznego

napięcia: jedna żałowała, że nie powiedziała więcej, druga natomiast była przekonana, że usłyszała zbyt wiele.

Tego wieczoru przed kolacją Bonaria słuchała radia, podczas gdy Maria, siedząc przy kominku, bawiła się starym elementarzem, wkładając ilustrowane kartoniki do odpowiednich przegródek. Kilku z nich brakowało, zaginęły w pierwszych latach nauki, kiedy przedmioty i ich nazwy były jeszcze zagadkami, niepodlegającymi zasadom analizy logicznej.

– O czym chciała z wami mówić pani nauczycielka?

– Nic ważnego, miałaś rację.

– Długo rozmawialiście...

– Oglądałyśmy ogród. Są tam nakrapiane gerania, jeszcze nigdy takich nie widziałam.

Maria umieściła ostatnie kartoniki na swoich miejscach, stwierdzając, że musi użyć innego sposobu, żeby się dowiedzieć, o czym rozmawiała tego ranka ciocia i pani nauczycielka.

– Powiedziała wam, że dobrze się uczę?

– Nie, powiedziała, że jesteś inteligentna, ale za mało się przykładasz i że mogłabyś uczyć się o wiele lepiej.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy z niedowierzania. Bonaria miała poważną minę, siedząc z uchem przyłożonym do głośnika radia, w którym nadawano muzykę klasyczną. Zamknęła oczy, żeby je ukryć przed pytającym spojrzeniem Marii.

– To niemożliwe! Zawsze mi powtarza, że jestem dobrą uczennicą. Najlepszą!

– Najlepsza jest córka Giovanniego Lai, wszyscy o tym wiedzą. Nauczycielka powiedziała, że przez cały czas rysujesz, nie lubisz gramatyki i bez przerwy rozmawiasz z Andrią Bastiú.

– To nieprawda, że przez cały czas rysuję! Tylko trochę.

Bonaria uśmiechnęła się niepostrzeżenie.

– Ale prawdą jest, że rozmawiasz na lekcji i nie uczysz się gramatyki.

– Włoski do niczego nie jest potrzebny.

– Niby dlaczego?

– Poza szkołą wszyscy mówimy po sardyńsku. Wy też mówicie po sardyńsku, i moje siostry, i Andriá. Wszyscy!

Stara krawcowa, podobnie jak inne matki, wiedziała o tej powszechnej wśród dzieci z Soreni awersji do włoskiego. Z tego powodu niektóre kobiety przestały mówić do dzieci po sardyńsku, posługując się nowym językiem w sposób raczej komiczny niż skuteczny.

– Nawet jeśli tutaj wszyscy cię rozumieją, kiedy mówisz po sardyńsku, włoski trzeba znać, w życiu nigdy nic nie wiadomo. Sardynia leży we Włoszech.

– Nieprawda, że leży we Włoszech, jesteśmy odcięci! Widziałam na mapie. Dzieli nas morze – oświadczyła Maria stanowczo.

Bonaria nie dała się zbić z tropu owym popisem znajomości geografii.

– Powiedz mi, czyją jesteś córką.

Dziewczynkę zaskoczyło to pytanie. Przez chwilę milczała, doszukując się podstępu, po czym odparła pewnym tonem:

– Anny Teresy Listru i Sisinnia Listru...

– Słusznie. A gdzie mieszkasz?

Tym razem Maria wyczuła podstęp, zwlekając z odpowiedzią.

– W Soreni.

– Mario! – skarciła ją wzrokiem Bonaria, marszcząc brwi. Dziewczynka musiała ustąpić.

– Mieszkam tu z wami, ciociu.

– A więc żyjesz z dala od matki, ale nadal jesteś jej córką, prawda? Nie mieszkaćcie razem, ale jesteście matką i córką?

Maria zamilkła, nieco upokorzona, spuściła wzrok na kolana, szukając pociechy w elementarzu, gdzie każda rzecz miała swoje określone miejsce. Dał się słyszeć jej cichy szept:

– Jesteśmy matką i córką, ale nie rodziną. Gdybyśmy były rodziną, nie trzeba by było się z wami układać... to znaczy myślę, że to wy jesteście moją rodziną. Bo jesteśmy sobie bliższe.

Bonaria zwlekała z odpowiedzią. Muzyka klasyczna, dochodząca z radia, potęgowała jej milczenie. W kolejnych słowach zmieniła taktykę.

– Miło mi to słyszeć, ale to bez znaczenia... dobrze wiesz, że mój Raffaele zginął w okopach nad Piawą. Wojnę toczyły Włochy, nie Sardynia. Kiedy umiera się za jakąś ziemię, siłą rzeczy staje się ona twoją ziemią. Nikt zdrowy na umyśle nie ginie za nie swoją ziemię.

Maria nie potrafiła przeciwstawić się podobnej logice ani znaleźć słów pociechy w bólu tak silnym, że pozostał w pamięci po czterdziestu latach. Dostrzegła jego przebłysk w oczach Bonarii, które nigdy nie przestały opłakiwać zaginionego Raffaele Zincu. Zmieszana, szepnęła:

– Chcecie przez to powiedzieć, ciociu... że stanę się waszą córką dopiero wtedy, kiedy umrę?

Bonaria parsknęła śmiechem, rozładowując napięcie zawarte w szczerym pytaniu Marii. Odruchowo przytuliła głowę dziewczynki do piersi, jakby chciała ją ogrzać.

– Ty głuptasku! Stałaś się moją córką w chwili, gdy cię ujrzałam, kiedy mnie jeszcze nie znałaś. Ale ucz się włoskiego, z łaski swojej!

– Dlaczego, ciociu?



– Dlatego, że mój Raffaele poszedł do ośnieżonych okopów w lekkich butach, które na nic mu się nie zdały, a ty musisz być przygotowana. Włochy czy nie Włochy, musisz powrócić z wojny, moja córko!

Nigdy dotąd ani nigdy potem tak jej nie nazwała. Marii sprawiło to wielką przyjemność, przejmującą jak ból zęba, którą zapamiętała na długo.

## 4

O ile prawdą jest, że ziemia opowiada o swoim właścicielu, o tyle opowieści wzgórz Soreni były zagmatwane. Niewielkie, nieregularne kawałki gruntu mówiły o rodzinach z nadmierną liczbą dzieci i brakiem wzajemnego zrozumienia, rozbitych na miriady granic, które zaznaczone były murkami z czarnego bazaltu, wzniesionymi bez zaprawy i zawzięcie strzeżonymi.

Teren rodziny Bastíu był nieco większy od parcel sąsiadów, ponieważ z woli Boga przez wiele lat mieli więcej testamentów niż spadkobierców.

O godzinie dziesiątej pewnego ciepłego październikowego poranka w winnicy na wzgórzu zwanym Pran'e Boe Andría Bastíu chwycił niezgrabnie za szczupły nadgarstek Marii, zatrzymując ruchy sekatora.

– Uważaj na to!

– A co to takiego?

– Pajęczyna.

– Nie boję się pajaków.

– Bo ich nie znasz – oznajmił poważnym tonem. – Wiesz, że kiedy cię ugryzie, przysypią cię nawozem, a wokół ciebie tańczyć będzie siedem kobiet: najpierw wdowy, później stare panny, na koniec mężatki, aż okaże się, jak wyglądał pajak?

– Kto ci naopowiadał tych bzdur, Andriá? – spytała ze śmiechem Maria, po czym obcięła dużą kiść winogron, włożyła ją ostrożnie do plastikowego wiadra, potrząsając głową nakrytą chustką w żółte kwiaty, wyblakłe podczas poprzednich winobrań.

Winnica rodziny Bastíu liczyła dwa tysiące pnączy ciemnych winogron o jagodach wielkości przepiórczego jaja. Po rozgnieceniu wypływał z nich czerwony sok, barwy gotowanej świńskiej krwi i równie słodki. Dwójka dzieci podzieliła się pracą stosownie do sił, starając się dorównać szybkością dorosłym w równoległej alejce.

– To prawda, przydarzyło się to mojemu tacie. Opowiadał mi, że przez dwie godziny musiał tkwić w kupie gnoju, bo inaczej byłoby po nim.

– Czy twój tata nie zginął dwa razy na wojnie? Jeśli natomiast ciebie wyślą po dziesięć deka powietrza w proszku, to założę się, że pójdziesz je kupić.

Maria nie przestawała obcinać kiści winogron, rzucając Andrií drwiące spojrzenia. Chłopiec zaczerwienił się w słońcu, spuszczać wzrok na prawie pełne wiadro. Choć byli rówieśnikami, Maria, z dorosłym uśmiechem na ustach czerwonych od winogronowego soku, zawsze potrafiła znaleźć słowa, żeby mu wytknąć niedojrzałość.

– Idę wysypać winogrona na wóz...

– Dobrze, zabierz wiadro, a ja pójdę się napić. Uważaj na pająka, bo siedem wariatek będzie tańczyć po krowim łajnie, żeby cię uratować, i nie jestem pewna, czy je znajdę!

Winobranie musiało się rozpocząć i zakończyć w ciągu jednego dnia, dlatego też pracowało przy nim sześć osób, które obcinały kiście, błyskawicznie ogoławając rzędy winorośli na wzgórzu. Kiedy zaczynało świtać, rodzina Bastíu wyruszała do pracy

w towarzystwie córek Anny Teresy Listru; później dzielono się z nimi winem. Wdowa Listru dokonywała cudu jak w Kanie Galilejskiej. Zwykła mówić, kiedy sprzedawała wino sąsiadom: „Jezus zamienił wodę w wino, a ja wino zamieniam w chleb”.

Maria czekała całe lato, żeby pomagać przy winobranii, bo lubiła rywalizować z Andrią. Nigdy nie było wiadomo, kiedy rozpocznie się zbiór winogron, ponieważ właściwą porę wyznaczał stary, ślepy Chicchinu Bastiu dokładnie w przeddzień pojawienia się w powietrzu woni winogron gotowych na moszcz. Wnuki codziennie prowadziły go na pole, gdzie uroczyście, z zamkniętymi oczami, wachał łagodny wiatr od morza, muskający winnicę. W powiewach powietrza, które poruszały liśćmi, docierając do zakamarków wśród gęsto zwieszających się kiści, starzec, niczym doświadczona akuszerka, zdawał się słyszeć głos wina, które miało się narodzić. Marii stale opowiadano tę historię.

– Mówią, że potrafi dokładnie przewidzieć dzień na winobranie! – oznajmiła cioci Bonarii z nadzieją, że wzbudzi w niej podziw dla owej tajemnej mocy. Kobieta spojrzała na dziewczynkę z łagodnym uśmiechem, jakby słowa Marii nie zrobiły na niej szczególnego wrażenia.

– Chicchinu Bastiu i moszcz żyją w najlepszej komitywie. Trudno, żeby z nosem wiecznie w kieliszku nie rozpoznał zapachu wina.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy, zaczynając mieć wątpliwości co do nadprzyrodzonego zjawiska.

– Myślicie, że oszukuje?

– Zostaje coś na następny dzień?

– Nie, zbieramy wszystko przed zachodem słońca.

– No, to nie oszukuje. – I ciocia Bonaria, nie kryjąc uśmiechu,

powróciła do szycia. Wiedząc, że Maria lubi winobranie z rodziną Bastíu, w ten szczególny dzień pozwalała jej nie iść do szkoły.

Kiedy Andriá się oddalił, żeby opróżnić wiadro, Maria postanowiła odkryć sekret zapachu winnicy. Włożyła kiść winogron do miski z wodą na końcu alejki, a po wyjęciu jej stwierdziła, że była dwa razy cięższa. Zanurzyła twarz między jagody, zachłannie wciągając nosem ich woń w poszukiwaniu tajemnej kryjówki. Po usunięciu zgniłej jagody, która sfermentowała w słońcu, poczuła zwykły zapach dojrzałych winogron, bardziej zbliżony do barwy niż do aromatu. Rozczarowana, na pociechę ugryzła ciepły owoc, patrząc w roztargnieniu na głowy pozostałych osób, wyrastające tu i ówdzie ponad rzędami winogron.

Nagle usłyszała hałas dobiegający z tyłu, od strony murka. Początkowo był to jęk, stłumiony krzyk, później bardziej wyraźny odgłos. Maria zaczęła szybko iść w kierunku, z którego wydawał się dochodzić, łamiąc źdźbła suchej trawy. Murek płakał. Maria przeszła kilka metrów wzdłuż jego nieregularnej linii, nie znajdując niczego, co przeczyłoby temu wrażeniu. Cichy głos dobywał się dokładnie z ułożonych piętrowo kamieni.

– Wróciłem! – Zza rzędu winorośli dobiegło ją niecierpliwe wołanie Andrii, ale dziewczynka nie zwróciła na niego uwagi. Poruszając się ostrożnie, szła wzdłuż linii granicznej.

– Zaczekaj, muszę coś sprawdzić.

Zatrzymała się dokładnie w miejscu, z którego dochodził dźwięk, i w milczeniu wpatrywała się w murek. Słońce, zmęczone winnicami, szybko zniżało się ku zachodowi, kładąc na ziemi ogromne, bezkształtne cienie. Obok cienia Marii pojawił się niezgrabny cień Andrii.

– Co robisz? Inni już prawie skończyli...

Przyłożywszy palec do ust, nakazała mu milczenie i wskazała na murek.

– Posłuchaj!

Dał się słyszeć jęk, słaby i cichy, lecz na tyle słyszalny, by na twarzy chłopca pojawił się wyraz zdumienia. Po kilku minutach siostry Listru i członkowie rodziny Bastíu stali przy murku, wsłuchując się w jego płacz i zapominając o winobrani, które należało skończyć przed zachodem słońca. Bonacatta trzymała się na bezpieczną odległość kilku kroków, drżąc za każdym razem, gdy czarne kamienie wydały jęk, tymczasem Regina i Giulia patrzyły w milczeniu na murek, rzucając niespokojne spojrzenia na Salvatora Bastíu i jego żonę. Obydwoje dyskutowali, przyglądając się z zakłopotaniem kamieniom.

– To na pewno jakaś pokutująca dusza – zawyrokowała Giannina Bastíu i przeżegnała się pobożnie – wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie...

W odpowiedzi murek głośno zaszlochał. Salvatore pokręcił głową z niedowierzaniem.

– To nie człowiek, tylko zły duch. Trzeba wezwać don Frantziscu, żeby jeszcze dzisiaj pobłogosławił winnicę, bo w tym roku wino się nie uda.

Nicola Bastíu nie wydawał się zainteresowany teologiczną dysputą rodziców. Poruszając się po ziemi jak dzik, oglądał podstawę murka i ze zmarszczonym czołem sprawdzał brudnymi palcami szczeliny między kamieniami. Po chwili przeskoczył na drugą stronę, naruszając granicę, i zaczął oglądać murek od strony posiadłości Manuele Porresu. Po kilku minutach podniósł się z ziemi równie szybko, jak się na niej znalazł, kierując zdziwione spojrzenie na ojca.



– Przesunęli granicę.

Kiedy Salvatore Bastíu spojrział synowi w oczy, próbując zrozumieć jego słowa, murek jęknął ponownie i dalsza rozmowa była zbyteczna.

– Przeklęte skurwiele! To o to chodziło!

Mąż, żona i Nicola, w równym stopniu zaniepokojeni, zaczęli burzyć murek, a wyrwane kamienie spadały im pod nogi, tocząc się po ziemi po obu stronach granicy. Jakby w napadzie furii, która udzieliła się pozostałym, po kilku minutach obrócili murek w ruinę.

W jego wnętrzu dostrzegli jutowy worek, wciśnięty między dwa wklęsłe kamienie, które prymitywnie ociosano, żeby zrobić miejsce. Pod baczным okiem rodziców Nicola wyjął z kieszeni nóż sprężynowy. Ostrze z suchym trzaskiem przecięło brudną tkaninę, ukazując coś, co się słabo poruszało.

Był to mały szczeniak.

Widząc, w jaki sposób został związany i pogrzebany, wszyscy się przeżegnali. Nawet Nicola.

Salvatore Bastíu nigdy nie wierzył, że noc jest dobrym doradcą. Noc jest nocą, i tyle. Człowiek rozumny wie, że rad należy słuchać za dnia, ponieważ każdy kolejny świt stanowi zasadzkę, przed którą za wszelką cenę trzeba się bronić. Jeśli o niego chodzi, to nigdy nie wyszedł z domu bez naostrzonego noża, wychował dzieci po spartańsku i pod czujnym okiem. Nicola nauczył się wszystkiego szybciej niż Andriá, nie był jednym z tych chłopców, którzy przyszli na świat, żeby siedzieć beczynn timer. Dlatego też ojciec nie czekał, aż nastanie noc, zabierając go ze sobą do domu Bonarii Urrai, razem z tym, co znaleźli we wnętrzu murka, włącznie z psem.

Ojciec i syn, siedząc przy kuchennym stole w domu Bonarii, obserwowali w milczeniu jej szczupłe palce, którymi badała

przyniesiony przedmiot, podczas gdy Maria siedziała przy kominku, trzymając na kolanach śpiące szczenię.

– Tu chodzi o zły zamiar – stwierdziła ciocia Bonaria, ostrożnie dotykając dziwnego, złożonego przedmiotu, który znaleziono w worku razem ze szczeniakiem.

Salvatore Bastiú ogarnęło zniecierpliwienie.

– To jasne, ale co to robiło w murku granicznym?

Ciocia Bonaria uniosła sznurek pełen supełków, podobny do naszyjnika, którego końce były oplecione wokół spieczonego na słońcu kawałka bazaltu wielkości orzecha.

– Wiąże go, unieruchamia.

– Przecież przesunęli murek co najmniej o metr! Jak, u diabła, to zrobili? Nie było mnie w winnicy zaledwie trzy dni.

– Trzy dni to aż za dużo, jeśli ktoś ma pomocników. W każdym razie chodziło o to, aby po przesunięciu wyglądało, że murek pozostał na swoim miejscu. I żebyście tego nie zauważyli.

– Ale ja zauważyłem... – oświadczył Nicola z uśmiechem.

Mimo słabości Salvatore Bastiú do starszego syna Bonaria nie omieszkała skarcić go wzrokiem.

– Nie przechwalaj się! Zorientowałaś się tylko dlatego, że pies jeszcze żył. Możesz być pewien, że gdyby zdechł, linia graniczna przepadłaby razem z nim.

Stara kobieta patrzyła to na przedmioty, to znów na gości, dotykając dłonią bazaltowego kamyka. Wydawała się na coś czekać.

– Porresu musi za to zapłacić – stwierdził nagle Salvatore Bastiú.

– Nie masz pewności, że on to zrobił.

– Czy to nie wystarczy?! – zawołał ze złością, wskazując przedmioty i uważając, by ich nie dotknąć. – To dowód, że źle mi

życzą, rzucają na mnie czar, aby ukraść mi metr ziemi!

Bonaria pokręciła głową, ale nie odezwała się, nadal dotykając szczupłą dłonią kamienia.

\*

– Dam mu na imię Mojżesz! – wykrzyknęła Maria, na którą nikt nie zwracał uwagi.

Nicola, jego ojciec i Bonaria odwrócili się ku niej, zaskoczeni.

– Pies w niczym nie zawinił, zatrzymam go.

Widząc zachłanny błysk w oczach dziewczynki, Bonaria uśmiechnęła się mimo woli.

– Możesz go zatrzymać, pod warunkiem, że będziesz się nim zajmować – oznajmiła.

Maria skinęła przytakująco głową, ciesząc się z pozwolenia, o które nawet nie prosiła. Pies, który urodził się, żeby umrzeć jako przekleństwo, nie był powodem do przeprosin czy podziękowań. Nadal siedziała przy kominku, głaszcząc szczenię, podczas gdy Bonaria odprowadzała gości do drzwi w ciszy wypełnionej myślami. Kiedy zostały same, usiadła na drugim krześle przy kominku. W milczeniu wrzuciła do ognia kamień, sznurek i worek, poruszając wargami, jakby coś przeżuwała. To, co mogło spłonąć, spłonęło, reszta zginęła w popiele, tracąc swój sens.

– Ja też chciałam spalić te rzeczy, ciociu. Ogień wszystko oczyszcza.

Maria wypowiedziała sentencję powoli, głaszcząc psa i przyglądając się gestom Bonarii. Kobieta spojrzała na nią, po czym wstała z wyraźnym zamiarem pożegnania się.

– Późno już: ludzie do domu, zwierzęta na dwór. Wypuść go i idź spać, bo jutro musisz iść do szkoły.

Strzepnęła fartuch, tymczasem Mojżesz niechętnie opuścił dom, żeby spędzić noc na podwórzu. Kiedy Maria zasnęła, kobieta nadal siedziała przy kominku, w skupieniu obserwując płomyki ognia, które z wolna gasły. Okrągły kamyk tkwił w popiele niczym nieruchome serce o porowatej powierzchni, szerniałej od ognia, ale bynajmniej nie oczyszczonej.

## 5

Bonacatta, najstarsza córka Anny Teresy Listru, przypominała Marię ze względu na czarne oczy, nic więcej. Mocno zbudowana, niczym górnik, przez osiem lat pracowała jako służąca w domu Giuanniego Asteriego, żeby zarobić na wyprawę, i teraz, wystrojona w najmodniejszą spódnicę, siedziała w salonie z wdziękiem zniszczonego nuraghe<sup>[2]</sup>.

Krewni obojga narzeczonych siedzieli na skraju krzesel i głośno rozmawiali, popijając małymi łykami małmazję i śmiejąc się głośno z rzeczy, które zwykle wywołują jedynie uśmiech. Wzdłuż niewidocznej granicy między rodzinami słyhać było nieustanny szelest spódnic. Siostry i kuzynki przyszłej panny młodej serwowały likiery i słodkie wino ze sztucznie nieśmiałym uśmiechem i spuszczonej oczami dobrze wychowanych osób. Tymczasem Maria trzymała w górze tacę i wzrok, przyglądając się ciekawie kandydatom na powinowatych. Nie byli zamożni, bo człowiek zamożny nie żeni się z córką wdowy bez majątku. Ale też nie biedni, sądząc ze zwyczajowych darów, które przynieśli dla przyszłej panny młodej: medalika na złotym łańcuszku z wizerunkiem Matki Boskiej Wniebowziętej, starego pierścionka oraz brzydkiej, dużej szpilki do chustki na głowę, której Bonacatta nie nosiła, zafascynowana nową modą z półwyspu. Maria była

pewna, że nawet gdyby siostra założyła wszystkie te błyskotki, nie stałaby się piękna, ale w gruncie rzeczy nie temu miały służyć. Dary były niczym wota na posągu leżącej Matki Boskiej Wniebowziętej, nie pełniły roli ozdób, lecz przedmiotów wymiany: koral za łaski, złoto jako świadectwo religijności. Gdyby Bonacatta dobrze się zastanowiła, zrozumiałaby, że owa ostentacja świecidełek nie kryła żadnej pobożności, ale myślenie nie było mocną stroną najstarszej córki Sisinnia Listru.

Narzeczony Antonio Luigi Cau siedział obok matki, wyraźnie onieśmielony, trwając w bezruchu jak wypchane zwierzę. Był wysoki nawet na siedząco, nie odzywał się ani słowem, pozwalając mówić rodzicom, po trosze zgodnie z obyczajem, a po trosze dlatego, że nie miał nic do dodania.

– To także twoja córka, Anno? Myślałam, że masz trzy córki. – Matka pana młodego przyglądała się drobnej postaci Marii, grubymi palcami zdejmując z tacy dwa migdałowe ciasteczka.

– To Maria, najmłodsza. Siedem lat temu oddałam ją na duchową córkę, ale kiedy zajdzie potrzeba, chętnie przychodzi pomagać.

Anna Teresa Listru uśmiechnęła się zadowolona, żeby upiększyć rzeczywistość, jak to miała w zwyczaju. Jej nieoczekiwana gadatliwość zachęciła przyszłą teściową Bonacatty do rozmowy z Marią.

– Czyją jesteś córką duchową, skarbie?

Na te słowa zebrani ściszyli głos, tymczasem Maria udzieliła odpowiedzi, nie dostrzegając błysku zaniepokojenia w oczach matki.

– Wzięła mnie ciocia Bonaria Urrai, krawcowa, bo nie miała dzieci.

W pokoju zapanowało długie, kłopotliwe milczenie, po czym matka przyszłego pana młodego sięgnęła po kolejne ciasteczko, uśmiechając się od niechcienia.

– Bonaria jest wspaniałą osobą, dobrze ją znamy. Zdaje się, że szyła ubranie dla Vincenza, kiedy był jeszcze przewodniczącym komitetu, pamiętasz, Bissè? – powiedziała do męża, który słuchał z zainteresowaniem. – Ma złote ręce, mimo że nie musi pracować. Na pewno dobrze cię traktuje... – stwierdziła, kierując krzywe spojrzenie na Annę Teresę Listru.

– Jak własną córkę, niczego mi nie brakuje – odparła Maria machinalnie i grzecznie, jak wiele razy przedtem. – Proszę wziąć jeszcze jedno ciasteczko, piekła je Bonacatta.

Maria wyciągnęła tacę jak dłoń po jałmużnę, pochylając lekko głowę i przez chwilę ukrywając wyraz twarzy. Pozostałe osoby trwały w milczeniu jak zauroczone, po chwili jednak najstarsza siostra uznała za stosowne przerwać ciszę, mówiąc jakiś banał.

– Maria jest szczęściarą, to zaszczyt mieć dwie rodziny. Od dzisiaj ja także je mam, prawda? Będziecie dla mnie jak matka i ojciec, jakbym była waszą córką...

Przyszła panna młoda uśmiechnęła się, ukazując rząd dużych zębów, przez co wydawała się jeszcze brzydsza niż zwykle. Jej słowa pomogły jednak przełamać konsternację i na ustach niektórych osób ukazały się nieśmiałe uśmiechy.

– Nie wyszłoby ci to na dobre, Bonacatto, bo nie rozpieszczałem dzieci. Spytaj Antonia Luigiego, czy byłem łagodnym ojcem, spytaj go! – Vincenzo Cau zaśmiał się ochryple, siedząc sztywno w wykrochmalonej, odświeżonej koszuli i kremowym garniturze, który zapewne pasował na niego przed pięcioma laty.

Jego słowa wystarczyły, żeby ponownie skierować uwagę na

główny cel spotkania, ale gdy wszyscy roześmiali się z ulgą, jego żona poprzestała na dwuznacznym uśmiechu, po raz ostatni wbijając wzrok w dziewczynkę, która z niewzruszonym spokojem krążyła z tacą po pokoju. Kiedy Antonio Luigi sięgnął spracowaną dłonią po słodycze, Maria popatrzyła w oczy narzeczonemu siostry.

– Potrafisz piec ciastka?

Były to jego pierwsze słowa tego popołudnia, wypowiedziane niskim, barytonowym głosem, wyraźnie i z powagą. Jej krajan, dwudziestopięcioletni Antonio Luigi Cau, był mężczyzną od lat co najmniej dziesięciu.

Maria, zaskoczona nagłym pytaniem, spuściła wzrok na tacę.

– Umiem robić owoce z ciasta migdałowego. Gruszki, jabłka, truskawki... także zwierzątko!

– Wspaniale! To też ważne, bo jada się nie tylko ustami.

Palce ogorzałej dłoni szwagra chwyciły ciasteczko z brzegu tacy, lekko drapiąc o jej dno. Maria cofnęła się o krok, jakby to jej dotknął, odsuwając tacę i podnosząc oczy, żeby mu się przyjrzeć. Antonio Luigi Cau, nieświadomy tej reakcji, nie zwracał już uwagi na dziewczynkę; z zamkniętymi ustami żuł ciasteczko i przysłuchiwał się rozmowom pozostałych osób. Przez kilka sekund Maria stała przed nim bez ruchu, po czym kolejna ciocia wzięła z tacy migdałowe ciasteczko, zmuszając ją, by poszła dalej. Przez resztę zaręczynowego przyjęcia Maria zachowała milczenie. Gotowa do pomocy, wstawiała, by sprzątnąć naczynia, starając się nie patrzeć nikomu w oczy.

Przed zapadnięciem zmierzchu wróciła do domu cioci Bonarii z koszykiem migdałowych ciasteczek, które zostały z przyjęcia, rozpalona silną, skrywaną gorączką.

– Jak poszło?



– Wyglądają na porządnych ludzi.

– On jest poważny?

– Chyba tak... – Po chwili dodała z lekkim uśmiechem: – ...jest wysoki.

Bonaria roześmiała się, starannie składając małą pelerynkę wykrojoną z wełnianej tkaniny, ostatnią pracą tego dnia.

– To dobrze. Czy można pragnąć czegoś więcej niż narzeczonego, który potrafi zrywać figi bez użycia drabiny?

Maria parsknęła śmiechem, czując, że rumieni się ze wstydu. Bonaria udała, że tego nie widzi.

– Termin ślubu wyznaczyli na trzynasty maja, żeby nie było za blisko Zielonych Świątek.

– Masz im pomagać?

– Tak, poprosili mnie o pomoc przy pieczeniu ciastek i chleba.

– Jeśli chodzi o ciastka, w porządku, ale co do chleba, to pod warunkiem, że w sobotę. Nie chcę, żebyś traciła szkołę.

Marii nigdy specjalnie nie zależało, żeby pracować w rodzinnym domu, tym razem jednak była uparta jak osioł.

– Nigdy nie opuszczam lekcji, szkoła się nie zawali, jeśli nie będzie mnie przez jeden dzień z okazji ślubu siostry!

Po usilnych prośbach dziewczynki Bonaria wyraziła zgodę, choć odniosła wrażenie, że Maria ukryła przed nią jakieś istotne szczegóły. Brak zainteresowania odwiedzinami w domu matki, które Maria przejawiała od samego początku, dodały jej pewności, nie mogłaby jednak przysiąc, że nigdy nie podsyciała owej niechęci. Do chwili, gdy po raz pierwszy spotkała Marię i jej matkę w sklepie, uważała się za osobę niosącą potajemnie cierpienie doskonałe, jedyne, któremu nie można było przynieść ukojenia. Wiedziała, z jakiego świata zabierała dziewczynkę, i aby mieć tę

pewność, wcale nie musiała znać jego wszystkich sekretów. Dlatego też się nie zdziwiła, że Maria nie tęskni za domem, jakby w głębi swojej dziecięcej, osamotnionej duszy od dawna wiedziała, że jej los wiązał się z innym miejscem. Jednak teraz, wobec nalegań Marii, która pragnęła uczestniczyć w przygotowaniach do ślubu Bonacatty, Bonarię ogarnęły wątpliwości. Nie miała przyjaciółek ani siostr, którym mogłaby się zwierzyć, a nawet gdyby je miała, wolała zachować wszystko dla siebie.

Anna Teresa Listru powiedziała prawdę matce pana młodego: Marię wzywano do rodzinnego domu za każdym razem, kiedy była potrzebna. Nie uściśliła jednak, że nie zawsze, kiedy ją wzywano, przychodziła. Bonaria Urrai niczym jastrząb czuwała nad powodem każdego wezwania i jeśli uznała je za nieuzasadnione, zastrzegła sobie prawo odmowy. Nie odmawiała otwarcie. Tłumaczyła, że musi pilnie podszyć zakład u spódnicy lub że czeka na kontrolną wizytę doktora Mastinu, i kto chciał zrozumieć, ten rozumiał. Jedynie w wyjątkowych sytuacjach stara kobieta zgadzała się, żeby dziewczynka poszła do pracy w polu, na ogół podczas winobrania z rodziną Bastiu lub zbioru oliwek. Wdowa Listru uważała, że odkąd Maria zamieszkała u Bonarii Urrai, wyobrażała sobie, iż jest księżniczką. Nie wyrwała z ziemi ani jednego ziemniaka, nie schyliła się, by okopać buraki, nie pracowała na akord na polu ryżowym jak jej siostry. Przede wszystkim zaś Bonaria dała wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie, by wzywano Marię do wypieku chleba o czwartej nad ranem. Anna Teresa Listru nie skarżyła się otwarcie, sądziła jednak, że uprzywilejowana pozycja Marii powinna przynosić więcej korzyści jej matce, poza zmniejszeniem liczby dzieci do wykarmienia. Najbardziej złościło ją to, że stara Urrai wydawała się mieć obsesję na punkcie

regularnego uczęszczania Marii do szkoły. Anna Teresa Listru wierzyła w to wytłumaczenie jedynie do pewnego stopnia. Dziewczynka była w trzeciej klasie gimnazjum, uczyła się więcej, niż mogło jej się to w życiu przydać. Nie było powodu, żeby nie zaczęła oddawać trochę z tego, co otrzymała, biorąc pod uwagę, na czym była garnuszką do szóstego roku życia. Ślub Bonacatty wydał się wdowie Listru dogodną okazją do małej próby sił w stosunku do Bonarii Urrai, ponieważ dużą ilością ciastek i chleba, jaką należało upiec, mogła usprawiedliwić kilkudniową nieobecność Marii w szkole.

Mimo najgorszych przeczuć Anny Teresy Listru stara Urrai przystała na jej prośbę i w wyznaczony dzień po południu, bez ponownego pytania Bonarii o zgodę, Maria stawiała się w rodzinnym domu, żeby piec migdałowe ciasteczka. Być może dałoby się coś jeszcze na tym zyskać, wykorzystując frenetyczną atmosferę ważnego wydarzenia, jaka panowała przy dużym stole pośrodku salonu.

Na stole stały rzędem obok siebie pachnące składniki do wypieku ciastek. Każda para rąk, włącznie z dłońmi przyszłej panny młodej, miała dokładnie wyznaczone zadanie. Po jednej stronie blatu, w dużej misce ze szkliwionej terakoty, znajdowały się słodkie migdały, posiekane tasakiem na drobny proszek, gotowy do wymieszania z mąką i jajkami na biszkopt, który miał trafić do pieca z migdałem lub kandyzowaną czereśnią pośrodku. Anna Teresa poleciła, żeby używać dużo mąki i oszczędzać na migdałach, nie zważając na miękkość wypieku. Drugą część stołu zajmował kopczyk migdałów pokrojonych na cienkie płatki, które trzeba było wymieszać z cukrem i tartą skórką cytryny, podgrzać i pozostawić do stężenia. Po ostudzeniu krojono je w romby, twarde i chrupiące,

którym mogły sprostać tylko zdrowe zęby. Wśród paplaniny sióstr i matki Maria tarła na tarce cytryny. Anna Teresa Listru niemal od razu rozpoczęła rozmowę z najmłodszą córką.

– Cieszysz się, że dzisiaj nie poszłaś do szkoły?

– Właściwie to lubię chodzić do szkoły, ale dzisiejszy dzień jest wyjątkowy.

Regina i Giulia wymieniły spojrzenia, tymczasem Bonacatta wyrabiała ciasto z jajkami, żeby je zmiękczyć.

– Nie wiem, jak to robisz, że nie nudzisz się na lekcjach, ja nie cierpiałam chodzić do szkoły – powiedziała głośno Giulia.

– A szkoła odpłaciła ci pięknym za nadobne: musiałaś powtarzać czwartą klasę! – docięła jej Bonacatta, odwołując się do autorytetu swoich dwudziestu pięciu lat.

– Uczyłaś się więc najdłużej! – Regina nigdy by się nie przyznała, że lubiła się uczyć, i nie przepuściła okazji, aby dopiec siostrze.

Upokorzony Giulii nieoczekiwanie przyszła z pomocą matka, która na ogół nie wtrącała się do kłótni córek, chyba że zaczynały ją irytować.

– Szkoła jest niepotrzebna – oznajmiła. – Wystarczy, że umiesz się podpisać i policzyć resztę w sklepie, nie musisz od razu zostawać lekarzem. Mam tylko trzy klasy podstawówki i z tego powodu nikt się ze mnie nie wyśmiewa, nawet ludzie, którzy pokończyli szkoły!

Anna Teresa Listru często powtarzała te słowa, przekonana, że ma rację, proponując córkom model możliwy do osiągnięcia. Starła się go wprowadzać w życie głównie dziewiętnastoletnia Giulia, osiągając wyniki, których matka nie omieszkała wyjawic sąsiadkom. „Podobna do mnie, kiedy byłam w jej wieku, jest zdrowa i nie ma fiu-bździu w głowie” – mówiła, czule poklepując po

plecach Giulie, która była teraz jej najmłodszą córką.

– Za to Maria lubi chodzić do szkoły... – ciągnęła, chcąc podtrzymać rozmowę – ...kim chcesz zostać, Mario? Magistrem od migdałów? A może profesorką od obrębków i obszywania dziurek jak ciocia Bonaria Urrai?

Siostry roześmiały się, lecz dziewczynka się nie spieszyła. Nie pierwszy raz matka poruszała temat szkoły, aby z niej zadrwić. Już na początku rozmowy Maria zrozumiała, że pragnie jej dokuczyć również tego dnia.

– Szkoła jest potrzebna do wszystkiego, także do pieczenia ciastek.

– To oczywiste. My bez szkoły nie umiałybyśmy ich piec. Co ty pleciesz?

Maria przestała ucierać skórkę cytryny, którą trzymała w dłoni, po czym sięgnęła po jedną z kulek ciasta migdałowego, utoczonych przed chwilą przez Reginę. Następnie pokazała ją matce z prowokacyjnym spojrzeniem.

– Wiesz, dlaczego te ciastka noszą nazwę *gueffus*?

Anna Teresa Listru spojrzała na nią jak na szaloną, podczas gdy siostry przerwały pracę, żeby przyjrzeć się scenie.

– Co za pytanie? Nazywają się tak, bo zawsze tak się nazywały.

– No, dobrze, ale dlaczego? Dlaczego nie nazywają się bombki, albo... stuku-puku?

Bonacatta parsknęła śmiechem, ściągając wściekły wzrok matki.

– Nie wiem. A ty wiesz? To nam powiedz, pani nauczycielko! Wytłumacz nam tę ważną rzecz.

– Ponieważ to słowo pochodzi od gwelfów, którzy w średniowieczu popierali papieża i walczyli z cesarzem.

– Ciekawe. Obrzucali się nawzajem kulkami z ciasta

migdałowego?

Tym razem roześmiały się wszystkie pozostałe siostry, ale Maria ciągnęła niewzruszona:

– Nazywają się tak, bo kiedy zawijamy je w papierek jak cukierki, na brzegach papierków nacinamy płaskie ząbki jak w wieżach gwelfów.

Anna Teresa Listru wysłuchiwała objaśnienia z irytacją i rozbawieniem, po czym zaczęła żartować.

– Nie do wiary...

Z wdziękiem wzięła do ręki gwelfa z posypanego mąką stołu i uniosła do ust, odgryzając połowę ciastka. Zaczęła żuć z zamkniętymi oczami, które nagle szeroko otworzyła, udając zdziwienie.

– A niech mnie!... Odkąd wiem, dlaczego tak się nazywa, zmieniło smak! Gdybyś mi tego nie wyjaśniła, nie wiedziałabym, co tracę!

Giulia i Regina, które w międzyczasie ukradkiem ugryzły kawałek gwelfa na spróbowanie, omal nie udławiły się ze śmiechu, podczas gdy Bonacatta, w obawie, żeby praca nad ciastkami nie poszła na marne, z uśmiechem skomentowała zawiedzioną minę Marii:

– Na dzisiaj wystarczy lekcji! A teraz bądź tak dobra i skończ ucierać cytryny, bo muszę przykryć pirichittusy. Uprzedzam, że wiem, dlaczego tak się nazywają.

– Ale powie ci, jak dorośniesz. – Regina oberwała kuksańca za tę impertynencję, a Maria zaczęła trzeć skórkę cytryny z furją godną słusznej sprawy.

Przez trzy dni w domu panny młodej wrzało jak w ulu, wciąż przychodzili krewni i sąsiadki z koszami pełnymi świeżych

składników oraz tacami przeznaczonymi na gotowe wypieki. Siostry Listru pracowały niemal bezustannie, wymieniając się zadaniami, aby dokonać cudu stworzenia całych zastępów fantastycznych ciastek z cukrem, podobnych do koronek, kilogramów tiliccasów nasączonych winnym moszczem, koszy aranzad o korzennym aromacie, chrupiących, cukrowych laleczek wypełniających blaszane puszki oraz setek okrągłych, migdałowych gueffusów, zawiniętych jak cukierki w biały papier welinowy o postrzępionych brzegach, podobnych do zwieńczenia wież gwelfowskich. W domu nie było ani jednego wolnego pokoju, tak więc Giulia i Regina musiały zdjąć z łóżek kosze wypełnione ciastkami, zasypiając wśród delikatnej, przyjemnej woni kwiatów pomarańczy.

Każdego wieczoru Maria wracała do domu Bonarii Urrai i przed zaśnięciem marzyła niewinnie o wysokim narzeczonym siostry.

---

[2] Nuraghe – prehistoryczna budowla obronna z kamienia, charakterystyczna dla Sardynii, w kształcie ściętego stożka – przyp. tłum.

## 6

W dniu ślubu Bonacatty oprócz wesela wydarzyły się dwie straszne rzeczy. Po pierwsze, Maria uczyniła coś, czego obiecała nie robić. Kiedy wszyscy zajmowali się ubieraniem i czesaniem panny młodej, weszła do sypialni matki. Mimo zamkniętych okiennic w półmroku można było dostrzec łóżko przykryte kawałkami białego płótna, które ujawniały kształty koszy z chlebem upieczonym tego ranka. Jedną ścianę pokoju zajmowała szafa z dwukolorowego laminatu, z owalnym lustrem w środkowych drzwiach, obserwującym pokój niczym oko cyklopa. Maria wiedziała, że ma mało czasu. Uniosła kolejno wszystkie płótna, sprawdzając uważnie zawartość koszy, aż znalazła właściwy chleb, ułożony troskliwie w oddzielnym koszu u stóp lustra.

Chleb weselny siostry, o idealnie okrągłym kształcie, z wyrytymi na skórce gołąbkami i kwiatami, wydał się jej piękniejszy i bardziej finezyjny niż wówczas, gdy leżał na łopacie piekarskiej: misterny wyrób z mąki i wody, dzieło sztuki dostępne nielicznym. Kiedy matka i Bonacatta go piekły, zabroniono jej pomagać. Nawet zwykłe patrzenie na bochenek po kryjomu było wykroczeniem, od którego poczuła nagły przyływ gorąca, wzmocniony przyjemnym zapachem wypełniającym wnętrze. Pragnęła zobaczyć chleb, ale bez ukrytych zamiarów, ogarnięta niecierpliwością osób, które



udają się na wystawę słynnych obrazów i kupują bilet, utwierdzając się w przekonaniu, że dzieła do nich nie należą. Kiedy stała pochylona nad chlebem, spojrzała w lustro, gdzie oprócz bochenka ujrzała siebie.

Z głębi domu dochodziły przytłumione odgłosy rozmów przyjaciółek panny młodej w chwili obłóczyn, lecz mocny zapach chleba zagłuszał wszystkie hałasy, które Maria przestała słyszeć. Popelniając grzech spojrzenia na siebie oczami narzeczonego innej, wyprostowała się i popatrzyła surowo na własne odbicie. W lustrze widziała siebie w dniu, w którym to ona, a nie Bonacatta, bierze ślub. W tajemniczym świetle lustrzanych odbić wzrok pana młodego spoczął na jej twarzy niczym dłoń na aromatycznym ciasteczku migdałowym. Dziewczynka z lustra nie była jeszcze panną młodą: wyblakła bluzka w kwiatki napinała się lekko na małym biuście, którego cienka tkanina nie zdołała uwydatnić. Działając pod wpływem impulsu, Maria rozpięła guziki w nerwowym poszukiwaniu wyraźniejszych oznak kobiecości, lecz widniała tam jedynie gładka, dziewczęca skóra, na której słabo połyskiwał łańcuszek, pamiątka chrztu, podobny do złotej blizny. Maria nieśmiało odsłoniła piersi, obserwując ich kształt aż po niewielkie sutki, na których biust zbyt szybko się kończył. Rozczarowana, nie zdołała uchwycić wdzięku małych piersi: pod przezroczystą skórą, oprócz żeber, ujrzała jedynie nędzną namiastkę kobiety.

W odpowiedzi na ów afront czasu schyliła się nad koszem u swoich stóp, skupiając uwagę na chlebie pary młodej. Wiedziała, że okrągły bochenek był ważniejszy od ślubnych obrączek jako dar ofiarny, który po wieczne czasy miał spocząć za szkłem, zawieszony na ścianie po spryskaniu lakierem do drewna dla ochrony przed

kornikami i pleśnią. Ostrożnie wyjęła chleb z kosza, powoli kładąc go na głowie, na którą pasował jak ulał. Kiedy popatrzyła na odbicie w lustrze, spodobała się sobie wreszcie jako królowa chleba, uhonorowana wonią zakazanej, milczącej koronacji. Uśmiechnęła się, lecz nagle dobiegł ją odgłos kroków w korytarzu, więc odwróciła się w popłochu. Być może wystraszyło ją wyjątkowe znaczenie tego mściwego chleba, który stanowił ozdobę nie jej święta.

Przede wszystkim pomyślała o odsłoniętych piersiach, choć lepiej by było, żeby zrobiła to w drugiej kolejności. Podczas nieudolnej próby ich zakrycia, przechyliła się do przodu, aby zapiąć bluzkę, wskutek czego korona zsunęła jej się z głowy. Wyciągnęła dłoń, jednak zbyt późno, aby zapobiec katastrofie: chleb dobrej wróżby spadł na ziemię z trzaskiem, stracony bezpowrotnie. Gdyby w dniu ślubu Bonacatty przepadł tylko chleb, nie byłoby problemu.

Kiedy Anna Teresa Listru otworzyła drzwi pokoju, żeby zabrać kosze z chlebem, ujrzała najmłodszą córkę stojącą z odsłoniętymi piersiami przed lustrem w drzwiach szafy. Oczom matki pana młodego, która przybyła z pomocą, ukazał się ten sam widok: duchowa córka Bonarii Urrai stała wśród koszy z chlebem niczym samotny menhir na czerwcowych wzgórzach. Kiedy dołączyła do nich Bonacatta w białej sukni, jej wzrok padł na kawałki chleba weselnego, rozrzucone po płytkach posadzki w kolorze czerwonego wina w sypialni matki. W tragedii lustrzanych odbić żadna z nich tak naprawdę nie zwróciła uwagi na Marię, dla której zbiorowa ślepotą była jedynym pocieszeniem, jedyną możliwą formą bliskości w tym domu. Skończyło się na tym, że ślub odbył się bez oznak przesadnej zabobonności. Wśród łez zrozpaczonej Bonacatty chleb prowizorycznie skleiono białkiem i na kilka minut wstawiono do ciepłego pieca, aby się zestalił i dobrze wyglądał w chwili

ofiarowania podczas mszy. Marii nakazano udawać niedyspozycję, byle tylko nie brała udziału w ceremonii kościelnej, a jedyne osoby, poza najmłodszym synem Bastiu, które mogły mieć jej za złe nieobecność, znały jej przyczynę i zachowały milczenie. Kiedy Maria wróciła do domu Bonarii, już od ponad godziny panowały ciemności, lecz cioci Urrai nie było.

Podróż starym, powojennym modelem motocykla z przyczepą, który dzielnie przetrwał na wyboistych, wiejskich drogach wokół Soreni, trwała krótko i obfitowała w podskoki na kamieniach. Accabadora siedziała na miejscu pasażera, a człowiek, który po nią przyjechał, nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Kiedy dotarli do domu pośród pól, stara kobieta szybko wysiadła. Ich przybycie obwieściło gniewne szczekanie dwóch psów. Na progu domu od kilku minut czekała młoda kobieta okryta ciemną chustą. Na narożniku budynku najbardziej wystawionym na powiewy mistrala w kilku miejscach odpadł tynk, odsłaniając proste kształty cegieł z surowej gliny, podczas gdy w świetle księżyca na pogodnym niebie można było dostrzec na podwórzu niewielką konstrukcję z małych kamieni, przykrytych daszkiem z eternitu, zapewne kurnik. Ponieważ okna domu były zaciemnione, odnosiło się wrażenie, że nikt w nim nie mieszka. Ale tak nie było.

– Dziękuję, że przyjechałaś... – wyszeptała kobieta bez przesadnej uprzejmości.

Accabadora poprzestała na skinieniu głową, po czym otuliła się szalem, dając do zrozumienia, że nie zatrzyma się na dłużej, niż to konieczne. Weszły do domu, zostawiając psy na zewnątrz, na straży motocykla. W pokoju, wokół pustego stołu, czekała na nią sześćoosobowa rodzina. Wszyscy podnieśli się jak na komendę. Oprócz człowieka, który ją przywiózł, męża kobiety stojącej na

progu domu, było dwóch innych mężczyzn w wieku około trzydziestu – czterdziestu lat, którzy skinęli głową na znak szacunku. Przy kominku siedziały dwie dziewczynki w piżamach, z zaspanymi oczami dzieci, które o tej porze powinny już być w łóżku. Młodsza trzymała w dłoni szmacianego pieska, kiedyś zapewne białego. Accabadora od razu zrozumiała, kto w tym domu podejmuje decyzje, i zwróciła się do kobiety:

– Gdzie jest?

Ta wskazała spojrzeniem zielonych oczu drewniane drzwi w jednej ze ścian pokoju, częściowo zasłonięte starym, olbrzymim kredensem.

– W tamtym pokoju. Podnosimy go tylko ze względu na odleżyny.

Poszła przodem, wskazując drogę, odprowadzana wzrokiem pozostałych osób niczym w milczącej procesji.

W pokoju tliło się słabe światło lampy, która stała obok łóżka, rzucając bezkształtne cienie na wychudłą twarz starego człowieka w pościeli, z głową opartą na dwóch poduszkach. Mężczyzna wydawał się spać.

– Od jak dawna jest w tym stanie? – spytała accabadora, podchodząc do łóżka. Pozostałe osoby odruchowo stanęły obok niej.

– W przyszłym tygodniu minie osiem miesięcy. W sumie dwa lata, od kiedy jeszcze mogliśmy go sadzać.

Mówiła tylko kobieta, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia z mężem i braćmi. Accabadora utkwiała w niej spojrzenie czarnych oczu.

– To on mnie wezwał?

Kobieta pokręciła przecząco głową, unikając wzroku accabadora, jakby chciała ukryć łzy.

– Nie, już od tygodni nie mówi – odparła po chwili. – Ale ja

rozumieniem ojca.

Accabadora, której ta odpowiedź wydawała się wystarczać, wyciągnęła dłoń spod czarnego szala i delikatnie dotknęła kościstego czoła starca. Mężczyzna otworzył oczy, wbijając w nią wyblakłe źrenice i nie wydając nawet słabego jęku.

– Zabraliście mu wszystkie poświęcone rzeczy?

– Tak. Sprawdziliśmy również pod poduszkami i pod materacem. Zabraliśmy mu też medalik od chrztu. Nie ma niczego, co mogłoby go zatrzymać – mówiła kobieta gorączkowo, wyliczając zabrane przedmioty. – Włożyliśmy mu też jarzmo.

Kobieta podeszła do łóżka, wsunęła dłoń pod poduszkę, po czym wyjęła niewielki kawałek miękkiego drewna, który prymitywnie wyrzeźbiono, nadając mu kształt wolego jarzma. Accabadora obejrzała przedmiot i popatrzyła na leżącego na łóżku starca. Po chwili zwróciła się do pozostałych członków rodziny, mówiąc stanowczym tonem:

– Wyjdźcie wszyscy!

Żaden z mężczyzn nie śmiał się jej sprzeciwić. Widząc, że gospodyni ani drgnęła, accabadora wbiła w nią wzrok. Kobieta niechętnie opuściła pokój, bezszelestnie zamykając za sobą drzwi.

Pozostawszy sama ze starcem, accabadora przyjrzała mu się uważnie. Szeroko otwarte oczy wujka Jusepiego Vargiu były nieruchome jak bezpowrotnie zniszczone przedmioty. Bonaria podniosła jego chudą dłoń, uważnie badając puls i przedramię. Nagle drgnęła. Starzec przemówił chrapliwym głosem:

– W końcu cię wezwali...

Wychudzoną ręką przyciągnął dłoń accabadora, zmuszając wysoką, ubraną na czarno kobietę, żeby się pochyliła. Mimo że mówił cichym szeptem, fałdy szala nie stłumiły jego słów i Bonaria

Urrai doskonale je słyszała. Za drzwiami czekała pogrążona w modlitwie rodzina, ale zanim odmówili *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryjo*, accabadora wyszła z pokoju starca, zostawiając otwarte drzwi. Kiedy zwróciła się do kobiety i jej męża, pożałowali, że nie są głusi od urodzenia.

– Antonio Vargiu, za to, że wezwaliście mnie bez powodu, wszystkich was przeklinam!

Przez wiele lat nie wymawiała tych słów, ale teraz, kiedy musiała to uczynić, rozwiązał jej się język.

– Za to, że skłamacie, twierdząc, że się nie odzywa, niech będą przekłete wasze dzieci, te, które macie, i te, które się narodzą.

– Nie! – Kobieta próbowała jej przerwać, podczas gdy pozostałe osoby cofnęły się, szepcząc zaklęcia chroniące od złego uroku. – Umierał... potwierdził to lekarz!

Accabadora nie zmieniła tonu ani wyrazu twarzy.

– Dobrze wiesz, że twój ojciec nie jest umierający, daleko mu do śmierci. Daj mu raczej jeść, bo jeśli umrze z głodu, obyś już nigdy nie mogła zasnąć!

Dziewczynka ze szmacianym pieskiem wybuchnęła płaczem, ale żaden z dorosłych nie zwrócił na nią uwagi i nie próbował pocieszyć. Accabadora wyszła bez pożegnania. Kiedy po niespełna godzinie motocykl zatrzymał się pod domem Bonarii Urrai, Maria jeszcze nie spała, dręczona niepokojem.

– Gdzie byliście, ciociu? Martwiłam się!

– Poza domem.

– To wiem, ciociu. Kim był ten człowiek?

– Nie znasz go. A o tej porze powinnaś już spać, jutro poniedziałek.

Dziewczynka zachnęła się, nie kryjąc irytacji.

– Mam w nosie szkołę! Gdzie byliście?

Bonaria Urrai, pokryta jeszcze kurzem po podróży bitą drogą, była wyraźnie zaskoczona tonem Marii.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, Mario Listru. Czyżbyś stała się nagle dorosła, a ja mała?

Surowe słowa nie wystarczyły, żeby przywołać do porządku dziewczynkę, która zatrzęsała się ze złości.

– Nawet jeśli jestem mała, to chyba mam prawo wiedzieć, co się dzieje? Już po północy, a ja nie jadłam jeszcze kolacji, bo na was czekałam...

– Najwyraźniej nie jesteś głodna. Na pewno najadłaś się do syta na weselu siostry.

Maria milczała, patrząc na twarz starej krawcowej i czarny szal, którym była profilaktycznie owinięta dla ochrony przed zimnem w maju, kiedy ciepłe były nawet noce. Bonaria Urrai domyśliła się, że dziewczynka coś przed nią ukrywa, więc przyjrzała się jej uważnie.

– Powiedz mi, co się stało – szepnęła, zdjawszy szal.

Tej nocy nikt nie spał: ani siostry Listru, które świętowały ślub, ani rodzina Vargiu, której przeszła ochota na sen, ani dwie kobiety w domu Raffaele Urrai, które siedziały przytulone do siebie przy kominku i do świtu rozmawiały o połamanym chlebie i zawiedzionej miłości. Dopiero o poranku, kiedy Maria kładła się do łóżka, przypomniła sobie ową noc sprzed pięciu lat, kiedy Bonaria Urrai wyszła z domu i zmarł Giacomo Littorra. Jej myśli rozplywały się w sennej gmatwaninie dziecięcych wspomnień, aż wreszcie zasnęła ze zmęczenia. Jediną korzyścią ze sceny przed lustrem było to, że nie musiała już szukać wymówek, by nie pomagać matce przy wypieku chleba.

## 7

Choć od wydarzenia przy granicy na Pran'e Boe minęły cztery lata, Nicola Bastiu nadal nie mógł zrozumieć, że jego ojciec pogodził się z całą sprawą, nie kiwnąwszy nawet palcem. Energicznie przycinał żywopłot w południowej części gospodarstwa, od strony drzew oliwnych, od czasu do czasu spoglądając w przeciwnym kierunku, za murek, gdzie Manuele Porresu od wielu dni czekał pod swoją pergolą na odpowiedni moment, by zebrać plony z pola, które powiększyło się o niemal dwieście metrów dzięki przesunięciu granicy na teren rodziny Bastiu. Inni sąsiedzi skosili już zboże – jedni wcześniej, drudzy później – i powietrze było gęste od dymu palonych ściernisk, wskutek czego co najmniej o dwa stopnie wzrosła temperatura, nietypowa jak na tę porę roku. Nicola ledwie raczył na nich spojrzeć i znów zabrał się do bezlitosnego przycinania żywopłotu, a brat u jego boku na próżno starał się nadażyć za szaleńczym tempem pracy.

– Jeśli nie przestaniesz skakać jak goryl, zrobisz mi krzywdę.

– Daj mi spokój, Andria, za każdym razem, kiedy tu przychodzę i widzę, co robi ten drań...

Andria znał na pamięć listę zażaleń brata. Zmniejszone pole miało przypaść w udziale Nicoli, który na myśl o przyszłej krzywdzie, nie mając jeszcze podstaw do odegrania się, złościł się



w dwójnasób, a nawet bardziej.

– Początkowo tata chciał, żeby za to zapłacił, ale później zrezygnował i w tym roku Porresu będzie miał co najmniej czterysta kwintali więcej, i to naszym kosztem!

Za każdym razem, kiedy pracował wzdłuż spornej granicy parceli, Nicola mierzył na oko część, której jego zdaniem brakowało, wyliczając szkody na podstawie tego, co w danym roku zasadził Porresu. Czasem były to pomidory, czasem melony. W tym roku zboże.

– Tata tłumaczył ci, dlaczego...

– Mam gdzieś przyjaciół taty, jego znajomych i to, że nikogo nie chce obrazić! Ziemia jest moja, a Porresu zrobił to, co już dawno zamierzał zrobić. Kto mu zabroni przesunąć granicę tej nocy, skoro trafił na głupoli, którzy siedzą z założonymi rękami?

– Dobrze wiesz, że jest przekonany, iż murek rzuca zły urok z powodu szczeniaka, i boi się go dotknąć.

Mimo słusznego rozumowania brata Nicola nie był do końca przekonany; choć ta odpowiedź dawała gwarancję na przyszłość, nie mogła mu zwrócić utraconej ziemi. Nóż ogrodniczy świszczwał w powietrzu jak szerszeń, podczas gdy gałęzie krzewów bezładnie padały do ich stóp.

– Wiem jedno: muszę bronić tego, co do mnie należy. Tata jest stary, nie ma ochoty z nikim walczyć. A ja nie lubię, kiedy robi się ze mnie durnia.

– I co im zrobisz? Rozbierzesz murek i postawisz go na polu ze zbożem? Potem będą gadać, że przesuwasz granice sąsiadów.

Nicola przerwał przycinanie żywopłotu i spojrział na brata.

– Jeśli ktoś nie może odzyskać tego, co mu zabrali, może się postarać, żeby złodziej nie miał z tego pożytku.

– Nie rozumiem... – skłamał Andriá, patrząc na spoconą, pokrytą kurzem postać Nicoli.

– Ale ja się rozumiem. Synowie Porresu myślą, że wykształcą się za moje pieniądze.

– A ja postąpiłbym tak jak tata. Inaczej skończy się tak, że więcej stracisz, niż zyskasz.

– Ziemia jest twoja, Andriá?

– Nie, ale...

– To się nie wcinaj! Nie będziesz mi mówił, jak mam żyć! – Potem dodał z rozmyślną złośliwością: – À propos, mówiłeś Marii Urrai, że się w niej zakochałeś, czy mam to napisać na ścianie jej domu?

Andriá zachował milczenie, które ciążyło bardziej niż przekleństwo. Bez słowa skończyli porządkować żywopłot, układając ucięte gałęzie w dużą stertę, żeby wyschły w słońcu i żeby je spalić za kilka dni.

Przez całe popołudnie Andriá zastanawiał się nad słowami Nicoli, nie wiedząc, czy urzeczywistni swoją groźbę. Był zbyt ostrożny, żeby powiedzieć o tym matce, a mimo opinii brata wystarczająco inteligentny, aby zrozumieć, iż nie należało mówić o tym z ojcem ani z kolegami w barze. Jedynym rozmówcą, któremu mógł zaufać, była Maria. Andriá utwierdził się w tym przekonaniu, przyglądając się dziewczynie siedzącej na krześle z rafii, zrobionym specjalnie dla niej, kiedy w słabym świetle zachmurzonego nieba przyszywała kieszonkę do płóciennej sukienki z biegłością doświadczonej szwaczki.

– Jak myślisz, co mógłby zrobić?

– Andriá, twój brat nie jest głupi. Odgraża się, bo jest wściekły, ale nic nie może zrobić.

– Nie widziałas go, cały czas o czymś myśli...

Przy wygaszonym kominku widniała ruda sylwetka Mojżesza, który leżał na podłodze zwinięty w kłębek. Narzędzie nieudanej próby rzucenia uroku spało spokojnie mimo rozmowy dwójki nastoletków, korzystając z nieobecności Bonarii i ciesząc się rzadką chwilą spędzaną w domu z Marią. Bezkrytyczna miłość psa wydawała się dziewczynie jedyną rzeczą na świecie, na którą nie musiała sobie zasłużyć. Pragnąc ukoić nerwy, Andriá podszedł do psa i pochylił się nad nim, zanurzając w miękką sierść Mojżesza twarz, na której pojawiły się pierwsze ślady zarostu.

– Nie wierzę, że jedynym rozwiązaniem jest dla niego wyrządzenie szkody – oznajmiła Maria. – Jeśli jednak tak myślisz, powinieneś powiedzieć o tym tacie.

Gdyby Andriá był tego pewien, od razu porozmawiałby z ojcem, ryzykując, że brat skopie mu tyłek. Za coś takiego Nicola sprząłby go na kwaśne jabłko, mimo jego siedemnastu lat. Ponieważ jednak nie miał żadnej pewności, uznał, że brat tylko straszy, i po raz ostatni w życiu nie zawierzył intuicji.

\*

Dla człowieka, który zabiega o powszechny szacunek, rzeczy dobre nie muszą mieć uzasadnienia, w przeciwieństwie do złych, które zwykle są konieczne. Gdyby w owej chwili ktoś poprosił go o wyjaśnienie, Nicola Bastiu powiedziałby z pewnością, że to, co zamierzał uczynić, było konieczne. Mimo to postanowił działać w nocy, ponieważ w pewnych sytuacjach ciemność jest rodzajem przebaczenia. Nie miał zbyt wiele czasu na urzeczywistnienie swojego planu, gdyż domownicy sądzili, że jest w barze z przyjaciółmi, a przyjaciele, że zaraz nadejdzie. Tego wieczoru pogoda mu sprzyjała: powietrze było suche, zerwał się ciepły wiatr

z południa, którego gwałtowne porywy poruszały źdźbłami traw, głaszcząc dojrzałe zboże Porresu dłonią podstępnego pasterza, niosącego śmierć. Świecił księżyc, ale Nicola wiedział, że nie było to dla niego korzystne, dlatego też poruszał się szybko, kryjąc się w cieniu murka i drzew oraz instynktownie tłumiąc odgłos kroków, żeby nie zakłócać nocnej ciszy wsi. Musiał zawlec na drugą stronę kamiennego muru trochę suchych gałęzi ze sterty, którą ułożyli z Andrią przed kilkoma dniami, a następnie przeciągnąć je do najdalej na południe wysuniętego miejsca parceli Porresu. Dzięki temu wzniecony ogień mógł się rozprzestrzeniać z wiatrem, wyrządzając duże szkody. Nicola potrzebował trochę czasu, musiał też bardzo uważać, ponieważ ślady gałęzi przeciąganych po miękkiej ziemi mogły z łatwością doprowadzić do sprawcy. Porresu miał podejrzewać, że ktoś zrobił go w konia, ale nie być tego na tyle pewnym, aby zwrócić się do wymiaru sprawiedliwości – dokładnie tak, jak on postąpił z rodziną Bastiu przed czterema laty. Z powodu wiatru pożar mógł się wywiązać z ognia na sąsiednim polu – na przykład na jednym z tych, na których resztki spalonych ściernisk tliły się groźnie na poczerniałej ziemi. Mogło się zdarzyć, że ich dobrze nie wygaszono. Mogło się zdarzyć, że zerwał się wiatr. Mogło się zdarzyć, że człowiek, którego miałeś za durnia, miał za durnia ciebie, lecz podobna hipoteza nie była zbyt prawdopodobna i właśnie na to liczył Nicola, kiedy podpalał stertę gałęzi.

Kiedy płomienie podniosły się ku niebu niczym przekleństwo, najstarszy syn Salvatore Bastiu szedł w stronę samochodu, zdając się na wiatr, który miał dokończyć rozpoczęte dzieło. Wystrzał ze strzelby, którego huk przeszył nocną ciszę, dosięgnął Nicolę już na drodze, powalając go z twarzą zwróconą do ziemi, bezgłośnie i bez wyjaśnienia.

## 8

Dowódca karabinierów, Kalabryczyk o sycylijskich korzeniach, nie uwierzył w ani jedno słowo, ale wiedział z doświadczenia, że wobec ośmiu świadków, którzy potwierdzili wersję wypadku na polowaniu, nie należało być zbyt dobiegliwym. Są miejsca, gdzie prawda i zdanie większości stanowią dwa nakładające się na siebie pojęcia, a Soreni stanowiło małe centrum moralności na owej tajemniczej mapie porozumienia. Sporządzono protokół, podpisano go i odłożono do archiwum, tymczasem Nicola wrócił do domu poważnie zraniony w nogę, bardziej wstydząc się, że nie zdołał dokonać zemsty, niż tego, że zmusił ojca do poproszenia przyjaciół, aby skłámali, tuszując jego porażkę.

Dowiedziawszy się, jak wytłumaczono wymiarowi sprawiedliwości sprawę parceli na wzgórzu Pran'e Boe, Manuele Porresu każdej niedzieli szedł na mszę pod rękę z żoną, z wysoko podniesionym czołem, dumny, że niesprawiedliwość, której się dopuścił, stała się sprawiedliwością, świadomy, że zyskał milczący szacunek osób, które wcześniej go potępiały. Tymczasem Salvatore Bastiu martwił się, że jego syn uchodził za głupca, przez co ośmieszał i jego. W Soreni nikogo nie wyśmiewano i spychano na margines w takim stopniu jak głupca, o ile bowiem w równej walce można było zwyciężyć sprytem, siłą i inteligencją, największym

wrogiem głupoty była ona sama, gdyż z powodu swojej zasadniczej nieprzewidywalności stawała się równie groźna dla przyjaciół, jak i dla wrogów. Szkodliwe było to, że w żadnym z obu przypadków reputacja głupca nie mogła iść w parze z szacunkiem, największą wartością w miejscu, gdzie nie było ich zbyt wiele.

Pomimo wszystko Giannina Bastiu chodziła po zakupy z podniesionym czołem, lecz złośliwe błyski w oczach osób, które słodkim głosem pytały o samopoczucie Nicoli, zachęcały ją do kłamstwa i zapowiedzi szybkiego powrotu do zdrowia. W rzeczywistości stan nogi Nicoli pogarszał się z dnia na dzień, a mimo często zmienianych opatrunków wdała się infekcja, na skutek której utrzymywała się gorączka. Doktor Mastinu musiał dwukrotnie otworzyć ranę, żeby oczyścić ją z ropy. Maria i Bonaria odłożyły odwiedziny u chorego, ponieważ Nicola nie życzył sobie nikogo widzieć – po trosze ze wstydu, po trosze, że nie chciał, by przyjaciele zobaczyli go w tym stanie. Po dwóch tygodniach całkowitego unieruchomienia w łóżku zachowywał się jak lew zamknięty w klatce, z trudem znosząc obecność lekarza i domowników. Ponieważ w miarę upływu dni nie dało się zauważyć żadnej poprawy, doktor Mastinu doszedł do wniosku, że polepszenie już nie nastąpi.

Kiedy w lokalnych barach rozeszła się wieść o prawdopodobnej amputacji nogi Nicoli, tak zwany wypadek na polowaniu przestał być zabawny.

Bonaria ujrzała Nicolę pierwszy raz od zdarzenia na wzgórzu Pran'e Boe. Nawet wówczas, gdy chłopak zaczął przyjmować wizyty, stara krawcowa zwlekała z odwiedzinami, nie posyłała też Marii, żeby zapytała o stan jego zdrowia. Trzymała się trochę na dystans w stosunku do czynu i osoby, która go popełniła, jakby

zdarzenie, w którym Nicolaomal nie stracił życia, tak naprawdę go zabiło i kazało mu się odrodzić na innej, obcej i dalekiej ziemi, do której docierało się po długiej podróży.

Nicolę Bastíu umieszczono na łożu małżeńskim w pokoju gościnnym, który zajmowało wujostwo podczas odwiedzin z okazji świąt, przez większość roku używanym jako skład cennych przedmiotów. Nicola siedział pośrodku łóżka, oparty o liczne poduszki, ubrany w zwykłą jasną koszulę, z chorą nogą wysuniętą spod kołdry, aby ułatwić zmianę opatrunku. Narzutę z kolorowego, sztucznego aksamitu zdobił wzór przedstawiający małe putta, które dzierżyły wypełnione po brzegi rogi obfitości. Na skutek niesmacznej gry nakładających się obrazów odnosiło się wrażenie, że pulchnymi ramionkami podtrzymują też gangrenowatą kończynę niczym skarb gotowy do podziału. Na tym barokowym fresku Nicola wyglądał jak niedoprana plama, miał surowy wyraz twarzy i stanowczy głos.

– Powiedzieli, że nie wyzdrowieję. Był u mnie doktor Schintu z Gavoi i stwierdził, że nic nie da się zrobić. Muszą amputować nogę.

Wbił w Bonarię oskarżycielskie spojrzenie, jakby ogłoszona przez niego sentencja wyroku unosiła się po pokoju, czekając, aż ktoś przyzna się do winy. Dla podkreślenia ogromu tragedii dodał:

– Umrę.

Bonaria popatrzyła na jego bladą twarz, przyciskając dłonie do łona. Do tej pory unikała wzroku syna Bastíu, ponieważ łóżko chorego nigdy nie było odpowiednim miejscem do szukania winnych. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał wyraźnie i spokojnie, jakby mówiła o błahych sprawach.

– Nie umrzesz, po prostu amputują ci nogę.

– Na to samo wychodzi. Czy koń nie jest martwy, kiedy okuleje?  
Albo kiedy podsypują mu obroku jak kalece?

– Nie jesteś koniem, Nicola.

– Właśnie dlatego, że nie jestem koniem, zasługuję na więcej niż żałoba po sobie samym, którą będę nosił przez resztę życia.

– Nie będziesz pierwszy ani ostatni.

– Wolę się zabić.

Bonaria słuchała jego słów z niewzruszonym wyrazem twarzy. Pomimo powszechnie znanej jej słabości do Nicoli wydawało się, że mu nie współczuje. Siedziała ze splecionymi, kościstymi dłońmi bez pierścionków, które przypominały zwinięty kłębek wełny. W jej głosie dało się wyczuć taki sam chłód, jaki panował na zewnątrz, jakby stara kobieta uchyliła okno, żeby przewietrzyć pokój i usunąć niezdrowe powietrze.

– Bóg daje i odbiera. Nie możemy mieć wyłącznie tego, co byśmy chcieli.

Usłyszawszy znany frazes, Nicola wybuchnął wymuszonym śmiechem, dając upust złości człowieka, który po raz pierwszy czuje się bezsilny.

– Zostaliście księdzem, ciociu Bonario? Mamy w Soreni kobietę księdza i nikt o tym nie wie! Kto powiadomi don Frantziscu, że ciocia Urrai została jego pomocnikiem?

– Nie odmienisz życia, strojąc sobie ze mnie żarty. – Bonaria nie zmieszała się, słysząc słowa, które ktoś inny uznałby z pewnością za przejaw niewybaczalnego braku szacunku.

Nicola postanowił to wykorzystać i zagrać w otwarte karty.

– Ale mogę odmienić jego koniec. A raczej wy możecie to zrobić...

Bonaria Urrai zaniepokoiła się, przeszywając Nicolę wzrokiem.

– Nie rozumiem – powiedziała cicho.



– Właśnie że mnie rozumiecie. – Nicola ściszył głos do szeptu, bezlitosny w swojej rozpacz. – Santino Littorra mówił mi, co zrobiliście jego zmarłemu ojcu. Proszę was o to samo.

Bonaria zerwała się z krzesła, jakby ją parzyło. Podeszła do okna, stając plecami do Nicoli, a kiedy się odwróciła, jej oczy miały wyraz, jakiego chłopak nigdy dotąd nie widział.

– Mówisz o sprawach, które nie powinny cię obchodzić, a Santino nie powinien ci tego mówić. W każdym razie bez względu na to, co ci powiedział, twój przypadek jest zupełnie inny. Giacomo Littorra umierał.

– A ja już umarłem, tylko że nie mogą mnie pochować.

Bonaria uniosła dłoń w geście irytacji, bardziej wymownym od słów.

– Naprawdę myślisz, że moim zadaniem jest zabijanie każdego, kto nie ma odwagi stawić czoła trudnościom?

– Nie, myślę, że pomagacie tym, którzy chcą przerwać cierpienia.

– To zadanie Boga, nie moje. Nigdy nie wierzyłeś w słuszne sprawy, a teraz chcesz uczyć mnie błędów?

Słowa Bonarii rozdrażniły Nicolę, nieskłonny do uznania boskiej interwencji w komedii, w której grał główną rolę. Zmienionym głosem wezwał matkę, która niezwłocznie weszła do pokoju, wycierając ręce w fartuch.

– Czegoś potrzebujesz, Nicò?

– Ciocia Bonaria została księdzem, mamó. Prawi morały jak ktoś, kto żyje z datków. Posłuchaj!

Giannina spojrzała na Bonarię zmieszonym wzrokiem, ale stara Urrai nie poruszyła się, nie odrywając spojrzenia od rozgorączkowanych oczu Nicoli. Jej zmęczona twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Co ty pleciesz, Nicola? Nie można tak mówić do osoby, która przyszła cię odwiedzić.

– Twój syn źle się czuje i mówi głupstwa. Nie słuchaj go, ja też go nie słucham.

– Nie mówię głupstw. To wy je mówicie, bo macie dwie nogi i przychodzicie, żeby mnie przekonać do chodzenia o jednej. Tak postępują księża i głupcy.

– Wiesz, dlaczego ci to mówię, Nicola. Nie musisz wyładowywać złości na mnie.

– To dlaczego mówicie jak kobieta, która nie zna życia?

– W tym pokoju jest tylko jedna osoba, która nie zna życia. Gdybyś miał trochę rozsądku, dziękowałbyś swojemu świętemu patronowi za cud, że żyjesz, bo po tym, co ci się przydarzyło, mogłeś skończyć w grobie, a my byśmy cię opłakiwały.

– Całe życie przykuty do łóżku to według was cud? Iść się wysrać, niesiony na krześle, to według was cud? Przedtem to rzeczywiście byłem cudem, mężczyzną, jakich w Soreni niewielu, właściwie żadnego. Teraz jestem kaleką, niewartym powietrza, którym oddycham. Byłoby sto razy lepiej, gdybym nie żył!

Na te słowa Bonaria zamilkła i odwróciła się do okna, przez które wpadało światło dnia, nadając wnętrzu nierealną, ciepłoróżową barwę. Putta na narzucie, pieszczone jasną smugą, lśniły wyzywająco, tworząc w fałdach sztucznego aksamitu iluzję dziecinnego, histerycznego tańca. Bonaria szybkim ruchem zdjęła z krzesła szal, szykując się do wyjścia.

– Naprawdę tak myślisz, Nicola? – wyszeptała, opuszczając pokój. – Moim zdaniem nie masz racji. Jeśli jedna noga nie wystarczy, żeby być mężczyzną, to stół jest bardziej męski od ciebie.

Giannina Bastiu zbeształa syna, który zamilkł, po czym szybkim

krokiem podążyła za Bonarią. W wąskim korytarzu kobiety spojrzały na siebie w milczeniu, tymczasem z pokoju dochodziły odgłosy wściekłych ruchów Nicoli na łóżku, na tyle gwałtownych, na ile mógł pozwolić na to jego stan.

– Nie może się z tym pogodzić – szepnęła Giannina po kilku minutach nerwowego czekania. – Co robić?

– Spróbujcie wezwać księdza.

– Don Frantziscu? A co on pomoże Nicoli? Mój syn nawet nie wierzy w Boga.

Bonaria spojrzała na przyjaciółkę, w zamyśleniu zaciskając usta.

– Nie wiem, Giannino, ale w chwili słabości niektórzy wolą stać się wierzący niż silni. Może w imię Boga zdoła przekonać Nicolę, żeby zaakceptował się takim, jakim jest.

Giannina Bastiu przytaknęła skinieniem głowy, z wyrazem rezygnacji na twarzy. Myśl, że ma wierzącego syna, była jej równie obca jak myśl o synu bez nogi.

## 9

Odwrócony do góry kołami rower stał na siodełku i kierownicy. Andriá Bastíu powoli obracał ręką tylne koło, szukając wzrokiem kolca, który najprawdopodobniej przebił dętkę. Maria wyszła drzwiami z tyłu domu z miską napełnioną do połowy wodą, stawiając ją obok roweru.

– Daj spokój! Jeśli jechałeś do Turrixeddy, to kolec jest malutki. Włóż dętkę do wody, żeby sprawdzić, gdzie ulatuje powietrze.

Andriá był innego zdania. Udając, że jej nie słyszy, obracał palcami koło, wypatrując spodziewanego wybrzuszenia, cierpliwym i milczącym jak górnik.

– Andriá, nie mogę sterczeć tu całe popołudnie z powodu przebitej opony.

Głos dziewczyny rozproszył jego skupienie, chłopiec uniósł głowę znad zatrzymanego koła z pytającym spojrzeniem.

– Jeśli jesteś zajęta, to idź, chcę skończyć. Nie mogłem zrobić tego w domu, Nicola dopiero co wrócił ze szpitala. Nie będę naprawiał roweru na podwórku pod jego oknem...

Maria kiwnęła przytakująco głową, po czym usiadła na brzegu chodnika przy domu Bonarii Urrai, nie zważając, że ma na sobie nowe dżinsy.

– Jak się czuje?

– Okropnie. Warczy jak zwierzę, na wszystkich jest zły i bez przerwy powtarza, że chce umrzeć.

– Można go zrozumieć, ale to musi być dla was trudne...

– Mój brat nigdy nie miał łatwego charakteru, ale to najgorsza rzecz, jaka mogła go spotkać. Mama płacze po kryjomu, tata udaje, że wszystko w porządku, co Nicolę jeszcze bardziej złości. Mam wrażenie, że denerwuje go wszystko, co robię.

Andriá zdjął oponę z koła, wyciągnął dętkę i zaczął ją pompować małą, białą pompką.

– Chciałabym go odwiedzić, ale nie chcę się narzucać.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, ale może przy tobie się opanuje...

Chłopiec zbliżył dętkę do miski i zaczął ją powoli zanurzać w wodzie, aż w pewnej chwili z niewidocznego miejsca zaczął wypływać strumień niewielkich pęcherzyków powietrza.

– Mam cię, kanalio! Teraz weźmiemy łąkę i zakleimy – zawołał zadowolony Andriá. – Im mniej widać, tym większą wyrządza szkodę, zawsze tak jest.

Odkąd ucięli mu nogę w szpitalu Mont'e Sali, Nicola sypiał w nocy po cztery godziny, i tylko po zażyciu środka uspokajającego. Doktor Mastinu powiedział, że to normalne, że potrzeba czasu, ale Giannina Bastiú niezbyt mu wierzyła, ponieważ Nicola nigdy nie miał skłonności do narzekania na ból. W dzieciństwie złamał sobie aż siedem kości, nie bał się ani wysokości, ani głębokości. Gniazda na drzewach i węże w rowach były dla niego wyzwaniem, któremu nie mógł się oprzeć. Uwielbiał brawurę, ku rozpaczyci matki oraz nieskrywanej satysfakcji ojca. Pewnego dnia, grając w piłkę, złamał kość dłoni, taki małeńki kawałeczek, o którym nikt nie słyszał. Później koledzy żartowali sobie z niego, mówiąc, że wymyślił

kostkę, która nie istnieje, byle tylko ją złamać. Nicola Bastí u nigdy nie skarżył się na ból. Giannina wolałaby, żeby już lepiej narzekał, gdyż na widok milczącego, wrogo nastawionego syna, leżącego w łóżku z zabandażowanym kikutem nogi, czuła w piersi jakby kulę gorącego tłuszczu, która się nie rozpuszczała, tylko przetaczała w górę i w dół, kiedy prześcielała mu łóżko, przynosiła jedzenie lub po prostu zaglądała do pokoju, żeby spytać, czy czegoś nie potrzebuje. Wstawili mu do pokoju telewizor, żeby mógł się rozerwać, kiedy był sam, ale Nicola prawie nigdy go nie włączał, patrząc za okno, przeniesiony w krainę milczącego gniewu, której był jedynym obywatelem z prawem do stałego pobytu. W takim stanie ujrzał go ksiądz, kiedy Giannina, przewyciężywszy opory, odważyła się pójść za radą Bonarii Urrai i zaprosić go w odwiedzin do syna.

Don Frantziscu Pisu, od dwudziestu jeden lat proboszcz Soreni, miał okrągły brzuch, na którym przy każdym głębokim oddechu napinały się guziczki sutanny. Kłopotliwa wypukłość kontrastowała z resztą ciała, chudego, niemal rachitycznego. Z profilu ksiądz przypominał jaszczurkę, która połknęła jajko, mimo surowej elegancji sutanny, jaką stary ksiądz rzadko zmieniał. W Soreni, wśród złośliwych uśmiezków, wszystkim był dobrze znany jego tik, polegający na nieustannym przesuwaniu dłonią po brzuchu w celu rozciągnięcia tkaniny, żeby zminimalizować to, co uznawał za jedyny widoczny powód do wstydu. Bardziej prostoduszne osoby przekreślały nazwisko księdza na Pisittu<sup>[3]</sup>, zapewne dlatego, że owym obsesyjnym ruchem przypominał kota, który starannie liże futerko, żeby je wygładzić. Inni natomiast nazywali go bardziej perfidnie Tzicu<sup>[4]</sup>, co oprócz zdrobnienia od imienia stanowiło złośliwe wyjaśnienie alkoholowej

przyczyny sterczącego brzucha. Don Frantziscu znał oba przezwiska, ale zbytnio się nimi nie przejmował z niewzruszoną wyższością osoby, która w ciągu ponad dwudziestu lat celebrowała pogrzeby w niemal wszystkich rodzinach Soreni, nawet tych, które okazywały mu lekceważenie. Snuł zapewne podobne rozważania, kiedy zapukał do drzwi rodziny Bastiu, z której mężczyźni nigdy nie potknęli się na schodach kościoła, ryzykując złamanie nogi. Mimo to nie zdziwiła go zbytnio prośba Gianniny o złożenie wizyty starszemu synowi, ponieważ nie pierwszy raz rzekomy antyklerykał w ostatniej godzinie okazywał się bogobojny. Po przybiciu do krzyża wszyscy łotrzy stawali się dobrzy.

– Witaj, Nicola – powiedział, wchodząc do sypialni na dyskretny znak Gianniny Bastiu, trzymającej się w bezpiecznej odległości na wypadek ataków syna.

Nicola oderwał wzrok od okna i popatrzył w stronę drzwi, w instynktownym geście myśliwego. Natychmiast rozpoznał osobę, która przyszła w odwiedziny, ale zachował spokój.

– Coś takiego! Posłali po księdza... To znaczy, że umieram, ja, który nie umiejąc czytać ani pisać, uważałem się za kalekę do końca życia.

– Nie umierasz, na pewno mówili ci o tym lekarze. Jestem tu tylko z wizytą.

Chłopak nie zaproponował księdzu, żeby usiadł, a don Frantziscu nie wykorzystał swojego podeszłego wieku, by uczynić to bez zaproszenia. Koniec końców nie było po co siadać.

– Co za niespodzianka! Nigdy przedtem mnie nie odwiedzaliście.

Słowa Nicoli nie speszyły gościa. Wolnym ruchem zdjął z siwej głowy czapkę z niebieskiej wełny, nie przejmując się niezadowoloną miną chłopaka.

– Nigdy tego nie potrzebowałeś.

– Myślicie, że teraz tego potrzebuję? Jeśli prosiła was o to moja matka, to niepotrzebnie was fatygowała.

– Nikt nie musiał mnie prosić, kapłani takie rzeczy robią z własnej inicjatywy, to ich obowiązek.

– Zarabiać na nieszczęściu innych, pewnie, że tak. Piękny obowiązek, na pewno zasłużycie sobie na raj. Nie myślcie jednak, don Frantzi, że tylko dlatego, że ucięli mi nogę, potrzebuję pomocy.

Stary ksiądz dobrze pamiętał tę bezczelność, tę inteligencję, wymykającą się spod wszelkiej kontroli. Spojrzał w oczy młodego mężczyzny, którego miał przed sobą, odsuwając od siebie żywe wspomnienie Nicoli Bastiu, wrogo nastawionego chłopca w krótkich spodenkach, z kolanami otartymi na betonie za kościołem. Łatwo było rozpoznać korzeń, widząc owoc, jaki wydał. Cicho westchnął.

– Przyszedłem tylko porozmawiać, Nicola...

– Ze mną? A o czym? O płci aniołów? Albo jak zorganizować święto Magdaleny? Właściwie to możemy rozmawiać o wszystkim. Mam teraz bardzo dużo czasu.

– Przyszedłem porozmawiać o tym, co ci się przytrafiło.

Odpowiedź Nicoli była ostra jak smagnięcie biczem:

– Nie macie najmniejszego pojęcia, co mi się przytrafiło.

– Mylisz się, w Soreni wszyscy o tym wiedzą, jak również to, że twoja nierozwaga kosztowała cię utratę nogi.

– To dobrze, przynajmniej mogą porozmawiać o czymś innym niż o przyprawianiu rogów. Co do was, to pobłogosławcie mnie, jeśli chcecie, i wyjdźcie stąd. To, że mam dużo czasu, nie oznacza, że chcę go tracić na rozmowie z wami.

Ksiądz ani drgnął, stojąc przy drzwiach z czapką w dłoniach,



jakby przyszedł po kweście. Nicola przyglądał mu się wyczekująco.

– Nie przyszedłem cię pobłogosławić. Błogosławieństwa nie można nikomu narzucać.

– No to po co? Żeby mnie przekląć? Nie ma potrzeby, jak widać.

– Nie bluźnij! Twoje życie nie jest przekleństwem, nawet jeśli nie masz jednej nogi. Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać...

Oczy Nicoli były jak dwa rozżarzone węgle, na bladej twarzy malowała się taka wściekłość, jakiej w tych dniach nie widziała nawet jego matka.

– Chcecie porozmawiać ze mną o życiu? Co wy o tym wiecie? Czyżbyście nie mieli ręki? – dopytywał się ze złośliwym uśmiechem, patrząc na księdza. – W pewnym sensie jesteście kaleką, a przynajmniej ślubowaliście, że nim będziecie. Łatwo powiedzieć: „Jestem kaleką z powołania”, przez cały czas mając to, czego się nie używa, chyba że się zmieni zdanie... – Mówiąc te słowa, uniósł się na poduszkach, podczas gdy stary ksiądz przez krótką chwilę cieszył się, że Nicola nie może wstać z łóżka. – Ja natomiast nie mogę zmienić zdania. Zapewniam was, że nie macie pojęcia, o czym mówię.

Don Frantziscu nie przerywał mu i nie zamierzał tego robić. Od dawna wiedział, że kwesta może zakończyć się pomyślnie dla kogoś, kto nie ma żadnych oczekiwań, poza tym Nicola dał mu wyraźnie do zrozumienia, że ma odejść. Ku zdumieniu chłopaka starzec, zamiast się pożegnać, odparł:

– O ile dobrze zrozumiałem, twoim zdaniem wszyscy ludzie, którzy mają obie nogi, powinni czuć się winni i współczuć ci, dopóki będziesz miał siły od Boga, żeby się nad sobą uzalać... – Z roztargnieniem podrapał się w głowę, jakby się zastanawiał. – To normalne, Nicola. Wiele osób tak reaguje, na ogół ci, którzy nie

szukają pociechy w wierze lub nie chcą jej szukać.

– Don Frantziscu, wystarczy – powiedział Nicola spokojnym, cichym głosem. – Nie wykorzystujcie faktu, że jesteście gościem w domu mojego ojca.

W jego głosie brzmiała groźba, lecz kapłan nie zmieszał się, wpatrując się w młodzieńca leżącego pośrodku łóżka. Ciągnął dalej spokojnym tonem, wyraźnie wymawiając słowa, jakby się zwracał do dziecka.

– Napisane jest, by mówić zarówno w odpowiedniej, jak i nieodpowiedniej chwili, więc będę mówił, a kiedy stąd wyjdę, będziesz miał dużo czasu, żeby przemyśleć swoje cierpienie oraz jego sens. Cierpienie, na które w pewnym stopniu, nie zapominaj o tym, zasłużyłeś, stając się powodem cierpienia innych, i którego nie jest ci dane odmienić, o ile go nie przyjmiesz jak Chrystus Zbawiciel, który cierpiał na krzyżu niespr...

– Wynocha!

Krzyk Nicoli był wściekłym wrzaskiem, po którym nastąpił rzut poduszką, ale z powodu przekrzywionej trajektorii chybił celu. Nicola Bastíu był wytrącony z równowagi.

– Uspokój się, mój synu...

– Nie jestem waszym synem, a przynajmniej mam taką nadzieję, grubasie w sutannie! Nie muszę wysłuchiwać tych pierdoł! Wynocha! Precz!

Giannina Bastíu, która przybiegła zaalarmowana krzykami Nicoli, ujrzała księdza w chwili, gdy wkładał na głowę czapkę z pomponem.

– Mamo, odprowadź don Tzicu do drzwi. Spieszy się, nie może zostać dłużej.

Matka udała, że nie przybiegła z powodu zamieszania,

rozpływając się w uprzejmościach.

– Don Frantziscu, już idziecie, a ja niczym was nie poczęstowałam...

– Nie przejmuj się, Giannino, za chwilę będę odprawiać mszę.

Kiedy stary ksiądz i matka wychodzili z pokoju, Nicola milczał. Mimo że rozmawiali w korytarzu, nie zadał sobie trudu, żeby posłuchać, o czym. Zamknął oczy, czekając na sen, który uspokoiłby jego gniew choćby na godzinę.

---

[3] Kotek.

[4] Kropelka.

## 10

Dłonie Gianniny Bastíu, tłuste od maści, przesuwają się po zwiotczącej skórze lewego uda Nicoli z hipnotyczną regularnością. Chłodne promienie październikowego słońca padają na hortensje w podwórzu za domem, które zakwitły po raz ostatni, podczas gdy pąki chryzantem wzdłuż muru przeżyły się sztywno niczym złożone przyrzeczenie.

W najcieplejszej porze dnia, tuż po jedzeniu, Nicola poddawał się obojętnie leczniczemu masażowi matki, który miał zapobiec odleżynom i przyspieszyć wyzdrowienie. Miesiące rekonwalescencji minęły lepiej, niż się spodziewano, a szew na amputowanej nodze zabliznił się bez żadnych powikłań. Po pierwszych tygodniach ślepego gniewu zachowanie Nicoli uległo zmianie, podobnie jak pora roku. Nie złorzeczył, nie obrzucał wyzwiskami osób, które przychodziły w odwiedziny, coraz rzadziej wpadał w furję, ciskając przypadkowymi przedmiotami. Ale nie odzywał się. Nie dlatego, że stracił zdolność mowy, po prostu nie wypowiadał ani jednego zbędnego słowa i nagle przestał reagować na bodźce zewnętrzne. Ojciec i brat codziennie podnosili go z łóżka, sadzali na krześle i wynosili na dwór, ale on nie zadawał sobie najmniejszego trudu, żeby się wesprzeć na zdrowej nodze. Jedynie podczas wizyt Bonarii Urrai wydawał się otrząsać z niezdrowego odrętwienia,

zatrzymując na starej krawcowej spojrzenie czarnych, podobnych do zgasłych gwiazd oczu. Podczas tych odwiedzin sprawiał wrażenie mniej niedostępnego, ale nadal zachowywał milczenie. Bonaria odwiedzała go codziennie, nigdy jednak nie próbowała wciągać go w rozmowę, ograniczała się do pogaduszek z Gianniną, co pewien czas spoglądając na chłopaka. Kiedy miała pewność, że zostanie w domu Andrię, zabierała ze sobą Marię, która starała się unikać widoku Nicoli, ogarnięta skrytym wstrętem do cierpienia, które nie było już bólem. Kilkakrotnie pokłóciła się nawet z Bonarią, ponieważ nie widziała sensu w tych przymusowych wizytach. Z jednej strony Nicola nigdy nie dał do zrozumienia, że nie sprawiały mu przyjemności, z drugiej Maria wolała spędzać popołudnia w domu, szyjąc sukienki na podstawie wykrojów, które co miesiąc przychodziły do sklepu, lub chodzić do pani nauczycielki, żeby pożyczyć od niej jakąś książkę do poczytania wieczorami. Tego popołudnia najwyraźniej nie postawiła na swoim, ponieważ siedziała z nadąsaną miną obok Bonarii, z zawziętą determinacją unikając patrzenia na delikatny zabieg, któremu Giannina poddawała nogę Nicoli.

– Spójrz, jaki piękny dzień, synku... niedługo zrobi się chłodniej, pójdziemy na winobranie i spróbujesz młodego wina.

Po operacji syna Giannina Bastiú wydawała się dziwnie odrodzona. Przewyciężywszy początkowe zakłopotanie, dostosowała rytm życia domu do nowej sytuacji, wymagającej pielęgnacji kaleki, i wyznaczyła sobie stałe obowiązki, nie zważając na brak oznak wdzięczności ze strony syna. Tego popołudnia Nicola w żaden sposób nie zareagował na zapowiedź winobrania. Natomiast Bonaria uśmiechnęła się, podejmując rozmowę z pozornym zainteresowaniem, tymczasem Giannina wytarła ręce

w ścierkę, po czym starannie przykryła nogę Nicoli.

– Zaprowadziliście już Chicchinu, żeby powąchał powietrze w winnicy, czy w tym roku znowu zaczekacie, aż ptaki zaczną dziobać winogrona na znak, że przyszła odpowiednia pora?

– Już raz go zaprowadzili, ale zdaje się, że trzeba jeszcze poczekać dwa tygodnie. Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma... Mario, przyjdiesz nam pomóc w tym roku?

Dziewczyna, wyrwana z zamyślenia, nie wiedziała, co odpowiedzieć, gdyż niezbyt ją pociągała perspektywa pracy u boku sióstr.

– Nie wiem, ciociu Giannino, mamy dużo rzeczy do wykończenia, dostałyśmy już zamówienia na sukienki na Boże Narodzenie... Obawiam się, że nie dam rady, nawet jeśli miałabym pracować całymi dniami, muszę przecież dotrzymać terminów. – Kiedy wstawała z krzesła, spojrzała na Nicolę. – Właściwie to powinnam już iść, żeby popracować. Miło było cię widzieć, Nicola.

Wyraz twarzy młodzieńca nie uległ zmianie, jakby nie słyszał słów pożegnania. Matka z uśmiechem zakłopotania próbowała zatuszować ten brak uprzejmości.

– Jemu też na pewno było miło! Ale jest zmęczony... mówią, że czasem bardziej męczy bezczynność niż całodniowa praca w polu. Odprowadzę cię do drzwi, bo i tak muszę przygotować kawę. Zanim wyjdiesz, weź sobie jeszcze jedno ciasteczko. Wiesz, że nazywają się gueffusy jak średniowieczni rycerze? Mówiła mi o tym twoja matka, czytała... nie pamiętam gdzie.

Bonaria i Nicola zostali sami na niespełna dziesięć minut, ale chłopak wykorzystał ten czas do ostatniej sekundy. Na odgłos zamykanych drzwi, jakby na skutek magicznego zaklęcia, obudził się ze stanu odrętwienia z szybkością kogoś, kto od dawna czekał

na tę chwilę.

– Co postanowiliście? – wyszeptał zaniepokojony, chwytając ją za ramię jak tonący.

Bonaria zdecydowanym gestem uwolniła się z uścisku, odpowiadając spokojnym głosem:

– Nie ma czego postanawiać. Nie mogę zrobić tego, o co prosisz.

– Nie dam rady tak żyć. Nie macie nade mną litości? – W głosie Nicoli brzmiała nuta rozpacz, lecz nie wywarła na Bonarii wrażenia.

– Mówiliśmy już o tym, Nicola. Nie zrobię tego.

Przygotował się na odmowę z taką samą starannością, z jaką dawniej zakładał sidła na zające i podpórki pod pędy winorośli. Kiedy ma się dużo czasu, można zorganizować także gniew. Dlatego też Bonaria była pewna, że tym razem nie dojdzie do awantury.

– Przecież robicie to, kiedy was poproszą. Nie jestem wart tyle co inni?

– Zupełnie nie rozumiesz swojego życia, Nicola, nie mówiąc o moim. Nie pomogę ci i już.

Westchnął zrezygnowany, nagle jednak zmienił temat.

– Co powiecie, jeśli zechcę poślubić Marię? – spytał stanowczym tonem, wprawiając Bonarię w zdumienie.

– Że to ona powinna ci odpowiedzieć. Nie mogę decydować w takiej sprawie.

Nicola stanowczym ruchem zrzucił z kolan koc, który zsunął się na ziemię. Opierając się rękami o poręcz krzesła, z wysiłkiem przyjął najbardziej wyprostowaną pozycję, na jaką było go stać. W tej parodii postawy na baczność zdawał się wyzywać Bonarię, żeby spojrzała na wiszący kikut nogi, jeszcze zaczerwieniony po

przebytej operacji.

– Popatrzcie, ciociu, przyjrzyjcie się mojej nodze. Dlaczego kpicie sobie z prawdy? Maria nigdy by za mnie nie wyszła, podobnie jak żadna inna dziewczyna, bo jestem kaleką. Nie mogę pracować, nie mogę utrzymać rodziny, nie mogę zrobić żadnej rzeczy, której kobieta oczekuje od mężczyzny. – Głos, początkowo spokojny, zdradzał coraz większe napięcie. – Czuję się tak, jakbym nie żył.

W minionych miesiącach Nicola stracił na wadze, ale jego ciało, choć mniej sprężyste, było zdrowe, zachował też silną wolę. Zapewne na tym polegał problem. Gdyby chłopak się załamał, pogodziłby się z cierpieniem. Tymczasem jego determinacja, niezmiennie taka sama, była rodzajem obsesji. Czy mu się to podobało, czy nie, Nicola Bastiu był jedną z najbardziej żywych osób, jakie Bonaria widziała, choć nie to powiedziała, kiedy spojrzała mu w oczy.

– Twoja matka uważa cię za żywego i kocha cię jak żywą osobę.

– Matka cieszy się, kiedy może się kimś opiekować. Zajmuje się mną jak dzieckiem, ale dla mnie to żaden powód, żeby żyć.

– To by ją zabiło, podobnie jak ojca.

– I tak umrą, a wtedy kto się mną zajmie? Kto mnie podmyje? Żona brata? Która dziewczyna za niego wyjdzie, wiedząc, że odziedziczy też opiekę nad kaleką?

Bonaria zamknęła oczy. Gdyby w tej chwili weszła Giannina Bastiu, pomyślałaby, że stara kobieta zdrzemnęła się w słońcu, znudzona niemą rozmową z Nicolą. Po chwili potrząsnęła głową i otworzyła oczy, patrząc na niego badawczo.

– Nawet gdybym chciała, nie mogłabym zrobić tego, o co prosisz, bez zgody rodziny.

Nicoli rozjaśniła się twarz, zamajaczył mu cień możliwości.



Zmęczony pozycją stojącą, usiadł na krześle, nie zważając na koc leżący na ziemi. Bezwstydną demonstracją kikuta, przecząca dotychczasowej niezgodzie na okaleczenie, stanowiła wyszukany rodzaj broni psychologicznej. Nicola byłby doskonałym żołnierzem lub krętaczem, jakich mało.

– Nie prosiłbym o zgodę. Jest sposób, żeby tego uniknąć.

– Nie ma takiego sposobu, a gdyby nawet istniał, nie skorzystałabym z niego.

Pomimo stanowczego tonu Bonaria patrzyła na Nicolę pytająco, co dodało mu odwagi.

– Noc Wszystkich Świętych. Kiedy drzwi domu pozostawia się otwarte z okazji wieczerzy dusz, możecie wejść i wyjść bez budzenia podejrzeń! Rano znajdą mnie martwego w łóżku i pomyślą o nieszczęściu.

Bonaria nagle wstała, podniosła z ziemi koc, przykucnęła i owinęła nim nogi Nicoli. Wykorzystując bliskość starej kobiety, kaleka ponownie chwycił ją za nadgarstek, tym razem z przymilną delikatnością. Ponieważ milczał, Bonaria wyszeptała:

– Prosisz mnie, żebym zhańbiła się przed Bogiem i ludźmi. Postradałeś zmysły, Nicola.

– Nigdy nie byłem równie przytomny. Może wam łatwo pogodzić się z myślą, że zostałem kaleką, ale mnie jest trzy razy ciężiej. Jeśli mi pomożecie, uznają, że zmarłem śmiercią naturalną. W przeciwnym razie sam znajdę sposób.

Mimo nadziei Nicoli do tej pory Bonaria Urrai nawet przez chwilę nie pomyślała, żeby zgodzić się na jego prośbę. Dopiero na te słowa po raz pierwszy się zawahała, ponieważ słyszała je przed wielu laty, kiedy za wzgórzem o nazwie Mont'e Mari był jeszcze las i młodość, która dała się zwodzić obietnicami.

Wojna, którą później nazwano Wielką, w pełni zasłużyła sobie na ten przymiotnik, jako że trzy razy wzywano pod broń mężczyzn z Soreni, kierując ich do okopów nad Piawą, a i tych było za mało. Z frontu, razem ze zwolnionymi ze służby ciężko rannymi, nadchodziły informacje o bohaterstwie brygady Sassari. Dwudziestoletnia Bonaria знаła życie na tyle, żeby wiedzieć, iż słowo „bohater” było rzeczownikiem rodzaju męskiego od słowa „wdowa”. Pomimo to lubiła wyobrażać sobie siebie jako żonę, kiedy leżąc na łące pod sosnami, tuliła do piersi kędzierzawą głowę Raffaele Zincu, wciągając w płuca powietrze przesycone żywicznym zapachem ziemi.

Choć Raffaele nie był przystojny w pełnym tego słowa znaczeniu, w Soreni każda dziewczyna na wydaniu pragnęła za niego wyjść. Prawdę mówiąc, pragnęły go też niektóre zamężne kobiety, bo choć było wielu mężczyzn bogatszych lub wyższych, żaden z nich w wieku dwudziestu lat nie miał równie bystrego, kpiarskiego spojrzenia zielonych oczu, którymi wpatrywał się w twarze innych, jakby nie obawiał się, że przyjdzie mu za to drogo zapłacić. Raffaele miał górną wargę delikatną jak u kobiety oraz kapryśną, wrażliwą naturę, wystarczyło się do niego odezwać, a już się rumienił. Bonarii nie zrażało, że arogancka mina ostrzegała przed nie całkiem niewinnym charakterem jego zachcianek. Już jako mały chłopiec razem z dziesiątkami innych osób pracował na ziemi Taniejego Urrai, latem zbierając melony, a zimą oliwki, z energią, którą zasłużył sobie na szacunek właściciela i towarzyszy. Ten, kto razem z nim strącał z drzewa oliwki, kończył dzień wcześniej i w lepszym nastroju. Wieczorem, przy kolacji, stary Urrai często go chwalił, powtarzając, że Raffaele jest mistrzem ręki i słowa. Bonaria, która znała jego inne umiejętności, przytakiwała

skinieniem głowy. Kiedy jej ojciec liczył pędy winorośli, ona liczyła sosny, podczas gdy on śnił o bezkresie złocistych kłosów, pieściła dłonią ciemne kędziory w sobotnie popołudnia, kiedy nie było taty ani wojny, zdolnej odebrać jej namiętność Raffaele. Rozmawiali też, niekiedy całymi godzinami, głównie o możliwości wezwania go na front, lecz on zawsze mówił o powrocie.

– Nadal będziesz mnie chciała, jeśli wrócę tak jak Vincenzo Bellu?

– Bez ręki? Pewnie, że tak. Dzięki temu zostaniesz bohaterem Vittorio Veneto, a ja żoną bohatera! – zaśmiała się cicho, z roztargnieniem muskając dłonią jego uszy.

– Nie żartuję. Zechcesz mnie, nawet jeśli zostanę kaleką? Głuchy od granatu lub bez nóg, jak Luigi Barranca?

– Chciałabym, żebyś wrócił, nieważne, jaki, najważniejsze, żebyś nie zginął.

Kategoryczna odpowiedź Bonarii nie dodała mu otuchy. W tej pozycji głos Raffaele brzmiał bardziej ponuro niż zwykle.

– Być może tobie łatwiej pogodzić się z myślą, że wrócę jako kaleka, ale ja dziesięć razy bardziej wolałbym umrzeć niż żyć choćby dziesięć lat jak umarły. Jeśli coś takiego mi się przydarzy, zabiję się jak Barranca.

– Nie waż się tak mówić, Raffaele...

Bonaria nie miała odwagi spojrzeć w niebo, kiedy położyła mu dłoń na ustach, tłumiąc słowa, po czym uniosła jego głowę i przytuliła do piersi. W cieniu drzew, pełnym spokoju, Raffaele wydał jej się doskonały jak nigdy dotąd, kipiący werwą, która niemal nie mieściła się w zdrowym, nietkniętym ciele.

– Nie powołają cię, zobaczysz... – wyszeptała, jakby wypowiadała egzorcyzmy.

– Nie wiem, ale jeśli wyjadę, módl się, żebym wrócił. Kiedy wrócę, zobaczymy, co dalej.

Ale powołali go i Bonaria musiała modlić się przez trzydzieści pięć lat, ponieważ nikt nie powrócił do Soreni, żeby jej powiedzieć, iż syn Lizia Zincu walczył w okopach jak bohater.

Kiedy Giannina Bastiu wróciła na podwórze z tacą gorącej kawy, Nicola siedział w słońcu sam, wśród trzech pustych krzeseł, z dziwnym uśmiechem na ustach.

# 11

Dusze nas znają, są duszami naszych krewnych, więc nie wyrządzą nam krzywdy, ponieważ przygotowaliśmy im kolację. O tym myślał Andriá Bastíu, kiedy szykował się w swoim pokoju do nocy pierwszego listopada. Zdjął buty, które wkładał do pracy w polu, lecz pozostał w ubraniu, bo nie miał zamiaru kłaść się spać. W ubiegłym roku matka celowo posłała go do zbierania ziemniaków i po całym dniu pracy był taki zmęczony, że wbrew własnej woli zasnął. Tym razem jednak nie dał się przechytrzyć; nie spał i miał zobaczyć dusze, które będą jadły kolację i częstowały się tytoniem zostawionym na stole, gdzie o poranku zostaną ślady palców. Dzięki temu będzie wiedział, co powiedzieć Marii, która twierdziła, że dusze nie krążą po domach, aby znęcać się nad ludźmi, bo zabraniało tego miłosierdzie Naszego Pana Jezusa Chrystusa. Jeśli Nasz Pan Jezus Chrystus pozwolił, żeby jego brat stracił nogę, z pewnością pozwoli zmarłym zjeść kilka *culurgiones*<sup>[5]</sup>.

Po cichu usiadł na stołku z łądyg zapalniczki<sup>[6]</sup>, którego używał w dzieciństwie i którego gwoździe kłuły go w siedzenie, po czym przyczał się przed szparą w drzwiach z determinacją strażnika granicznego. Po dwudziestu minutach zaczął morzyć go sen, lecz Andriá, ukryty za uchylonymi drzwiami, nadal obserwował korytarz prowadzący od wejścia do nakrytego stołu w oczekiwaniu

na dusze zmarłych. Tej nocy krąży po domach mnóstwo dusz; mówił mu o tym Nicola, który przed rokiem widział nawet duszę Antoniego Juliu, starszego brata matki, zmierzającą do ich domu. Antoni Juliu wyemigrował do Belgii, do pracy w kopalni, i za każdym razem, kiedy wracał, czuł, że nie jest u siebie. Rozglądał się wokół, jakby się bał wierzycieli, a pod paznokciami miał czarne obwódki od węgla, których nie dało się domyć. Nie był zadowolony z wyjazdu, ale z powrotu jeszcze mniej. Powiesił się w posiadłości rodziny Gongius trzeciego lata, wywołując szok u rolników, którzy znaleźli go na gałęzi jak zgniłą gruszkę, z językiem na wierzchu, jakby wyemigrował z własnego ciała nie wiadomo dokąd.

Być może tej nocy zjawi się właśnie Antoni Juliu. Specjalnie przygotowano mu danie i kieliszeczek abbardente<sup>[7]</sup>, bo lubił wódkę, i to w dużych ilościach. Gdyby nie przyszedł się napić, następnego dnia wypiłby ją ojciec Andrii lub Nicola, który, Bóg mu świadkiem, bardzo jej potrzebował. Ale nie mogła być duszą Antoniego Juliu postać, która przemierzała korytarz czarna jak bluźnierstwo, mijając pokój Andrii z szelestem spódnicy. Nie mogły należeć do jego wuja głowa przykryta czarną chustą oraz pewny krok osoby, która nigdy nie była zmuszona opuścić rodzinnej ziemi.

Kiedy Andriá ujrzał tajemniczą sylwetkę wchodzącą do domu, z niedowierzaniem przymknął oczy, nie umiejąc odróżnić rzeczywistości od złudzenia. Czy mieli w rodzinie zmarłe kobiety? Chciał zamknąć drzwi pokoju, napierając na nie z całych sił, żeby pokonać strach, ale dusza była zbyt blisko, by tego nie zauważyć. Na szczęście zatrzymała się nieco wcześniej, przed drzwiami Nicoli. Andriá widział, jak wchodzi, po czym głęboko odetchnął i w idealnej – jak sądził – ciszy dokonał pierwszej nierozważnej rzeczy w życiu, wychodząc z pokoju na korytarz.

W noc dusz nie biły dzwony. Mogła być dowolna pora, nie miało to najmniejszego znaczenia. Pomimo chłodu drzwi domów wzdłuż ulic były otwarte, jakby wszystkie rodziny z Soreni uciekły w popłochu, zapominając je zamknąć. Wysoka kobieta, przywykła do tej nocy jak do żadnej innej w roku, szła, trzymając się blisko murów, krokiem osoby, która doskonale wie, dokąd zmierza. Poruszała się szybko, szczelnie otulona czarnym szalem, do chwili, gdy fałdy sukni dotknęły progu domu Bastíu. Kobieta bezszelestnie weszła do środka, przemykając korytarzem jeszcze prędzej niż ulicą. W ciemnościach nocy szła pewnym krokiem domownika, mijając kolejne pomieszczenia i zatrzymując się przed drzwiami pokoju, o których wiedziała, że są otwarte, gdzie Nicola Bastíu, zmęczony bólem i oczekiwaniem, spał niespokojnym snem.

Nicoli śniło się morze, które widział po raz pierwszy w wieku dwudziestu lat. Przed ośmioma laty zanurzył się w nim aż po pierś z podwiniętymi nogawkami spodni, poddając się uderzeniom fal twardych od soli. Jego kuzyni pryskali się wodą i rzucali arbuzem, jakby bawili się w sianie za domem. On natomiast szeroko otwartymi oczami patrzył na linię horyzontu, gdzie kończyło się morze, a im bardziej się w nią wpatrywał, tym bardziej pragnął z wolna zawrócić w kierunku brzegu, bez pośpiechu i nie odwracając się jak na widok niektórych węży. We śnie powracał do tamtego wielkanocnego poniedziałku, ale piasek na dnie był bardzo lepki, jak potwór bez kości, który krępował mu ruchy. Gdyby mógł umrzeć, tonąc w wodzie snów, byłoby lepiej dla wszystkich. Ale nagle otworzył oczy, wymachując rękami i kikutem w pościeli. Potrzebował kilku minut, żeby sobie przypomnieć, kim i czym jest oraz że wynurzanie się z siebie jest tym trudniejsze, im głębiej jesteśmy zanurzeni. Dopiero wtedy usłyszał oddech chudej postaci,

która zakłócała ciszę w pokoju, stojąc nieruchomo przy ścianie obok jego łóżka. Nicola nigdy nie był rozmowny, ale w tej chwili zapragnął przerwać uciążliwe milczenie.

– Przyszliście... – wyszeptał zachrypniętym głosem, blady na twarzy.

Kobieta podeszła do łóżka, pochylając się nad nim tak blisko, że poczuł nieprzyjemny zapach starości. Kiedy się odezwała, miał całkowitą pewność, że nie śpi.

– Przyszłam, ale mogę odejść. Powiedz, że zmieniłeś zdanie, a wyjdę natychmiast. Przysięgam, że nigdy nie będziemy o tym mówić, jakby nigdy się to nie wydarzyło.

Nicola odparł natychmiast, nie chcąc tracić czasu na zastanawianie się.

– Nie zmieniłem zdania. Już jestem martwy, dobrze o tym wiesz.

Spojrzała mu w oczy, trzymając głowę w takiej pozycji, żeby nie mógł odwzajemnić spojrzenia. Ujrzała w nich to, czego nie szukała, i wyszeptała zmęczonym głosem:

– Nie, Nicola, nie wiem. Tylko ty możesz wiedzieć. Przyszłam i jestem przygotowana, ale módl się, żeby Bóg zesłał na ciebie rzecz, o którą prosisz i która nie jest chwalebna ani konieczna...

– Dla mnie jest konieczna – oznajmił, przyjmując klątwę lekkim skinieniem głowy.

Tymczasem stara kobieta rozchyliła szal, pod którym trzymała niewielkie gliniane naczynie z szeroką szyjką. Kiedy accabadora uniosła pokrywkę, z naczynia wydobyła się strużka dymu. Nicola Bastiu poczuł przenikliwy zapach, dokładnie taki, jakiego się spodziewał, wciągnął go mocno nosem, cicho szepcząc jakieś słowa, na które kobieta nie zwróciła uwagi. Zatrzymał w płucach trujący dym, zamykając oczy, zamroczony po raz ostatni. Zapewne już nie



żył, kiedy kobieta przycisnęła poduszkę do jego twarzy, ponieważ nie drgnął ani się nie bronił. Być może i tak by się nie bronił, gdyż umierał w taki sam sposób, w jaki żył, bez oddechu.

Andría Bastíu, któremu zrobiło się zimno na ten widok, obserwował przez uchylone drzwi czarną, kobiecą duszę, która rozmawiała z bratem, zanim nachyliła się nad nim z poduszką w rękę. Przecież nie po to przychodzą dusze. A może tak? Właśnie dlatego matka powtarzała, że trzeba zamykać drzwi, i to dobrze, nie zostawiać uchylonych, żeby zmarli nie pozazdrościli nam oddechu, bo potem przychodzą i... no właśnie, kradną ci ten oddech w poduszkę. Kolacja jest pretekstem, żeby odwrócić ich uwagę, a nie żeby im się przypodobać. Jedzą do rana, w ciemnościach biorą sos do *culurgiones* za krew, a mięso prosięcia za czerwone jeszcze uda i policzki, nie zauważają, jeśli ktoś im tego nie przypomni, że za innymi drzwiami są cali, żywi ludzie. W tej samej chwili Andría postanowił, że jeśli przeżyje, nigdy więcej nie tknie *culurgiones*.

Kiedy kobieca dusza poruszyła się, żeby włożyć poduszkę pod głowę Nicoli, Andría zaczął wycofywać się po omacku korytarzem, bezgłośnie wymawiając różne fragmenty *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryjo*, których nigdy dobrze się nie nauczył. Jedynie przez przypadek nie zakłócił ciszy, która go chroniła, w końcu jednak zdołał odgrodzić się od zjawy śmiesznej grubości drzwiami do swojego pokoju. Kiedy je ostrożnie zamykał, dostrzegł postać zmierzającą szybko do wyjścia. Przestało mu zależeć na ustaleniu, czy była ciotką, babką czy nieżyjącą siostrą jego matki, ale zanim zdążył o tym pomyśleć, światło księżycy wpadło przez otwarte szeroko drzwi wejściowe i w zapłakanej twarzy kobiety, która szybko przemierzała korytarz, Andría Bastíu rozpoznał

charakterystyczne rysy Bonarii Urrai. Zapadła noc, nareszcie.

---

[5] Sardyńskie pierogi z farszem z gotowanych ziemniaków i owczego sera – przyp. tłum.

[6] Roślina z rodziny selerowatych; gatunek *ferula communis* ma wyrastające do trzech metrów łodygi, które na Sardynii służą do wyrobów rękodzielniczych, takich jak charakterystyczne stołki w kształcie sześcianu – przyp. tłum.

[7] Wódka z winogron – przyp. tłum.

## 12

Są myśli, które nie znoszą światła dziennego, podobnie jak oczy puszczyka. Rodzą się wyłącznie nocą, pełniąc rolę księżyca, niezbędnego do wywołania w najskrytszych zakamarkach duszy przyływów znaczeń. Bonaria Urrai często miewała podobne myśli, z czasem nauczyła się o nie troszczyć, niestrudzenie wybierając noce, podczas których miały się pojawić. Krótko płakała, kiedy wracała od Bastiów, dźwigając ciężar oddechu Nicoli, lecz każda z tych łez pozostawiła nową bruzdę na twarzy accabadory, naznaczonej upływem czasu. Gdyby w owej chwili wzeszło słońce, Bonaria Urrai wydawałaby się o wiele starsza niż w rzeczywistości, odczuwała bowiem brzemień każdego roku z osobna. Minęło wiele lat, odkąd po raz pierwszy zgodziła się przynieść ukojenie na łożu śmierci, lecz była pewna, że ani wówczas, ani potem ów ciężar nie przygniatał jej jak kamień tak jak teraz.

Dobrze pamiętała, miała niespełna piętnaście lat, kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, w dniu, gdy z kobietami z rodziny asystowała przy porodzie w domu kuzynki ojca. Trzynastogodzinny poród drożej kosztował matkę niż noworodka, który mimo wszystko przyszedł na świat żywy. Ani rosół z kurczaka, ani modlitwy nie zdołały zatrzymać krwotoku, po którym nastąpiły dni agonii, odbierające nadzieję na powrót do zdrowia. Z pokoju usunięto

wszystkie poświęcone przedmioty, dary na szczęście, obrazy religijne, aby to, co wcześniej chroniło położnicę, nie przywiązało jej na zawsze do cierpienia. Kiedy kobieta poprosiła o przysługę, krewne spełniły jej prośbę w zgodnej, naturalnej atmosferze, w której za czyn godny potępienia można było raczej uznać niezrobienie niczego. Choć nikt nie udzielił Bonarii wyjaśnień, zrozumiała, że w owej chwili położono kres cierpieniom kobiety z taką samą logiką, z jaką przecięto pępowinę dziecka.

Po tej gorzkiej lekcji życia córka Taniejego Urrai nauczyła się niepisanego prawa, zgodnie z którym przeklęte są jedynie śmierć i narodziny w samotności. Nie miało znaczenia, że jej udział ograniczał się wyłącznie do patrzenia. W wieku piętnastu lat Bonaria potrafiła zrozumieć, że wykonywanie pewnych rzeczy lub przyglądanie się komuś, kto je wykonuje, jest takim samym przewinieniem, i od tej pory nigdy nie wątpiła, że potrafi odróżnić akt litości od zbrodni. Aż do owej nocy, kiedy w oczach Nicoli Basti u wyczytała determinację człowieka, który rozpaczliwie poszukuje nie ukojenia, lecz współnika.

Owej nocy dusze nie odwiedziły Bonarii Urrai, ale drzwi domu pozostały otwarte aż do świtu, kiedy bicie dzwonów sygnalizujące czyjąś śmierć obudziło Soreni z sennego odrętwienia. Rankiem Maria zastała starą kobietę wpatrującą się w wygaszony kominek. Owinięta była czarnym szalem niczym pająk uwięziony we własnej sieci.

Kiedy przyszli mu powiedzieć, że dom Basti u nawiedziła śmierć, don Frantziscu pomyślał, że chodzi o głowę rodziny. Po Soreni krążyła pogłoska, że stary Salvatore od miesięcy zadręczał się nieszczęściem, jakie spotkało starszego syna, a choć przy Nicoli udawał, że wszystko będzie dobrze, w chwilach alkoholowych

zwierzeń w gronie przyjaciół gorzko uczcił żałobę syna, przed którym zamknęły się wszelkie możliwości godnego życia. Z drugiej strony w grupkach znajomych z baru i na progach domów o zachodzie słońca całymi tygodniami mówiono tylko o tym. Argumenty inne niż fatalizm nie pomogły Salvatore wyobrazić sobie lepszej przyszłości dla syna, o ile bowiem prawdą jest, że drewno nie zmienia się w żelazo, o tyle stary Bastiu nie wyobrażał sobie gorszego przekleństwa niż żyć w teraźniejszości, każąc mówić o sobie w czasie przeszłym.

Kiedy don Tzicu, wiedząc, jak się sprawy mają, dowiedział się, że zmarłym jest Nicola, przeżegnał się, wykonując nieokreślony ruch między znakiem krzyża a gestem egzorcysty. Idąc do ich domu, odczuwał spóźnione skrupuły. Zarzucał sobie, że niewystarczająco przekonywał młodego Bastiu, by uznał swój stan za nieodgadniony przejaw woli boskiej. Choć Frantziscu Pisu był przekonany, że co najmniej połowę ludzkich spraw stanowiły tajemnice woli bożej, wiedział doskonale, że na drugą połowę składały się oczywiste owoce ludzkiej głupoty. Nieszczęście, które spotkało Nicolę Bastiu, znajdowało najlepsze wytłumaczenie w drugiej hipotezie. Frantziscu Pisu nie potrafił kłamać, co było jedną z jego największych wad, niebagatelną jak na księdza. Gdyby wiedział, że Nicola umrze, z pewnością bardziej by się zaangażował w swoje litościwe kłamstwo, kto jednak mógł przypuszczać, że nieszczęśnik rozczaruje niebo do tego stopnia, że poniesie śmierć we śnie? Nawet ludzie obdarzeni tak krótką pamięcią, że nie poczuwają się do wyrzutów sumienia, życzyliby sobie ostatecznego odkupienia win jak dobry łotr na krzyżu. Kiedy stary ksiądz, który pamięć miał raczej dobrą, przekroczył próg domu Bastiu, odmówił *Ojcze nasz* z głęboką żarliwością egzorcysty.

W korytarzu zebrała się tylko najbliższa rodzina, ciało zmarłego nie było jeszcze gotowe do procesji kondolencyjnej, która miała wypełnić dom krzykami i płaczem. Wyczuwało się nastrój niemego oszołomienia, spotęgowany pustym, dobrze widocznym w korytarzu stołem zmarłych, który pozwalał zrozumieć zaskoczenie, jakim stała się dla rodziny śmierć Nicoli. Giannina, pogrążona w bolesnej martwocie, była w otwartym pokoju Nicoli, nie przywdziawszy nawet czarnego stroju. Na widok księdza nie okazała śladu zwykłej uprzejmości, siedząc w milczeniu obok łóżka i trzymając dłoń zmarłego syna, zimną, lecz jeszcze elastyczną. Na spotkanie don Frantziscu wyszedł Salvatore Bastiù, blady, wyraźnie nieswój, bez cienia typowej dla siebie arogancji, niczym niewinny człowiek, który otrzymał wyrok skazujący.

– Dziękuję za przybycie, don Frantziscu. W tym nieszczęściu Gianninie na pewno przyda się dobre słowo...

Przytaknąwszy skinieniem głowy, ksiądz zdjął czapkę i ostrożnie podszedł do kobiety przy łóżku. Dopiero kiedy wykonał pierwszy krok, dostrzegł w pokoju jeszcze jedną osobę. Przy drzwiach, z rękami założonymi za plecami, stał oparty o ścianę Andrià Bastiù, ze wzrokiem utkwionym w łóżko, na którym spoczywało nieruchome ciało brata. Chłopiec lekko skinął głową, patrząc na księdza rozgorączkowanymi oczami osoby, która spędziła bezsennie noc.

– Giannino... – Don Frantziscu zwrócił się delikatnie do kobiety, która odpowiedziała mu jak na pytanie.

– Nicola nie był zły, był dobrym synem...

– Wiem, Giannino, wiem...

– Pobłogosławcie go, żeby Pan przyjął go do siebie, bo nie był złym synem...

Powtarzając te słowa, Giannina zaczęła tracić spokój, który zachowywała do tej pory, a z jej oczu popłynęły łzy bezgłośnego płaczu. Don Frantziscu założył na szyję fioletową stułę, uciekając się do modlitwy jako do pełnej szacunku formy odprężenia. Kiedy w imię Boga poddawał bezbronne ciało temu, na co Nicola za życia nigdy by się nie zgodził, a matka szukała pociechy w rytmicznej łacinie modlitw, Andriá wyszedł nagle z pokoju. Razem z ojcem zaczekał w korytarzu na wyjście księdza, po czym w milczeniu zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie.

– Wiesz, jak to się stało? – spytał don Frantziscu.

– Doktor Mastinu wspominał o zawale serca. Myślę, że to niemożliwe; jedyną dobrą rzeczą, która została mojemu synowi, było serce... – Stary Bastí u pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Pan nie zabiera niedojrzałych owoców, Salvatore. Każdy człowiek odchodzi, kiedy przyjdzie jego pora. Odwagi!

– Nie o odwagę tu chodzi, don Frantziscu... trudno poradzić sobie z bólem. Ten, kto go nie doświadczył, nie ma o nim pojęcia.

– Niech was pocieszy myśl, że tam, gdzie jest teraz, nic mu nie dolega...

Jakby dla ukoronowania tych frazesów ksiądz zwrócił się do Andrií, którego nie przekonało żadne z jego słów nakłaniających do pogodzenia się ze śmiercią brata.

– Teraz, kiedy zostałeś sam, musisz nieść pociechę mamie i tacie...

– Najpierw sam muszę ją znaleźć – odparł Andriá a oschle.

Ojciec spojrział na niego zaskoczony tym tonem, lecz spojrzenie, które rzucił mu syn, zniechęciło go do udzielenia nagany w dniu, gdy spowolniały język mógł znaleźć łatwe usprawiedliwienie. Ksiądz próbował nalegać, ale Andriá zainteresował się tym, co się

działo za jego plecami, przenosząc wzrok na osoby wchodzące do domu. Idąc za spojrzeniem Andrii, don Frantziscu ujrzał wysoką, szczupłą sylwetkę Bonarii Urrai oraz drobną postać Marii Listru. Nagle stwierdził, że to najlepszy moment na zakończenie wizyty. Kiedy wychodził, Maria pożegnała się z nim uprzejmie, natomiast Bonaria Urrai ledwie raczyła na niego spojrzeć, zmierzając do zmarłego i jego matki, aby uczynić to, po co przyszła.

Po dwóch godzinach, kiedy rozpoczęły się oficjalne wizyty, każda w stosownej porze, ciało Nicoli było przygotowane. Zmarły leżał w ubraniu, które przed dwoma laty uszyła mu Bonaria na dzień świętego Jakuba. Umiejętnie wypchana nogawka spodni maskowała amputowaną nogę, a starannie ogolona twarz miała tak pogodny, odprężony wyraz, że Maria odniosła nierealne wrażenie, iż Nicola nareszcie cieszy się z odwiedzin. Choć nie wezwano zawodowych płaczków do czuwania przy zmarłym, przybyło wiele kobiet w czerni, które za darmo szlochały, wznosząc głośne krzyki, podczas gdy mężczyźni czekali na zewnątrz na koniec lamentu żałobnego, aby wejść do środka i złożyć kondolencje rodzinie.

W wioskach Luvè oraz Illamari, które aspirowały do miana miasteczek, coraz częściej rezygnowano z czerni żałobnej, a zamożne, wykształcone rodziny nie składały wizyt kondolencyjnych. Natomiast w Soreni nikt nie upadł tak nisko, by rezygnować z okazywania solidarności z sąsiadami w chwili śmierci członka rodziny lub nie wkładać czarnego stroju, aby uczcić jego pamięć. Dla Marii, która urodziła się po śmierci ojca, czerń była naturalnym kolorem codzienności. Ten, kto urodził się sierotą, szybko uczy się współistnienia ze zmarłymi, dlatego też doszła do wniosku, że żałoba trwa wiecznie. Dopiero kiedy podrosła, dostrzegła, że żony i córki niektórych zmarłych zmieniały ubrania



wraz ze zmianą pory roku.

Przed wieloma laty, w pewne równie słoneczne popołudnie, kiedy ciocia Bonaria zaczęła uczyć ją szycia dziecięcych ciuszków, spytała ją o przyczyny owych zawirowań w garderobie.

„Ciociu, kiedy kończy się żałoba?”

Stara kobieta nie podniosła nawet głowy znad fartuszka, który wykańczała.

„Co za pytanie... kończy się wtedy, kiedy kończy się smutek”.

„A więc żałobę nosi się po to, by pokazać smutek...” – stwierdziła Maria, sądząc, że rozumie, po czym zapanowało milczenie wypełnione ruchami igły i nici.

„Nie, nie w tym celu. Smutek jest nagi, czerń ma go przykryć, a nie pokazać” – sprostowała Bonaria, spoglądając na Marię, po czym dodała z uśmiechem: „Pokaż ten kwiatek, który wyszyłaś, jest krzywy...”.

Słowa cioci były dla Marii niezrozumiałą przestrogą. W późniejszych latach często je wspominała, zwłaszcza kiedy zdarzało jej się widzieć wyraz oczu, zmieniający się szybciej niż ubrania, lub pospieszne kroki fałszywego wstydu, które stawały się tańcem z ciepłym jeszcze ciałem zmarłego. Kiedy patrzyła na Gianninę Bastiu, siedzącą obok syna w jaskrawej sukience w kwiaty, bez ani jednej czarnej plamki, zrozumiała, że kobieta pogrążona jest w tak głębokim smutku, z jakim nigdy dotąd nie oplakiwano zmarłego w Soreni, i w końcu pojęła sens słów Bonarii Urrai. Poczuli, że musi zaczerpnąć powietrza, dała znak cioci i wyszła z domu, zostawiając za sobą głosy kobiet, które odmawiały różaniec za zmarłego, jakby śpiewały kołysankę.

Andriá był na zewnątrz z innymi mężczyznami. Na widok Marii oddalił się od nich i podszedł do dziewczyny.

– Co za nieszczęście! Nie wiem, co powiedzieć, Andriá...

– Więc chociaż ty nic nie mów. Mam już dość pierdół, które dziś słyszałem.

Maria spojrzała ze zdziwieniem na przyjaciela, zaskoczona jego gniewnym tonem, lecz nie ośmieliła się go komentować. Zastanawiała się nad innym tematem do rozmowy, doszła jednak do wniosku, że najlepiej będzie zachować milczenie, które po chwili przerwał Andriá.

– Przyjdiesz pomóc nam przy winobranii w przyszłym tygodniu?

– Nie pleć głupstw, Andriá. Nicola zmarł, więc jeśli winogron nie zbiorą znajomi, twój ojciec pozwoli, by kiście zgniły na pędach. – Maria była zbyt poruszona, aby udzielić dyplomatycznej odpowiedzi.

– Byłaby to ostatnia rzecz, której życzyłby sobie Nicola. – Mówiąc te słowa, Andriá kopnął lekko kamyk, który odbił się od muru naprzeciwko.

– Nicola życzyłby sobie wielu rzeczy... winobranie jest świętem i raczej nie wypada świętować nad ciepłym jeszcze ciałem zmarłego. – Maria starała się złagodzić odmowę perspektywą przyszłości. – Pomogę wam w przyszłym roku.

– W przyszłym roku... – wyszeptał Andriá, ledwo poruszając wargami i wpatrując się uparcie w swoją nogę.

Maria miała nadzieję, że podniesie wzrok, lecz tego nie uczynił. Stojąc nieruchomo obok domu, wpatrywał się w ziemię, jakby coś zgubił, a po chwili zaczął drzeć na całym ciele. Maria domyśliła się, co się za chwilę stanie. Ona i Andriá wychowali się razem, wiedziała, że w pewnych wypadkach nie należało bagatelizować drobnych sygnałów.

– Chodźmy stąd, wyjdźmy na podwórze...

Wzięła chłopaka pod rękę i szybko przemierzili dom, trzymając się z dala od miejsca, w którym opłakiwano Nicolę Bastíu. Dotarli na podwórze w ostatniej chwili. Andriá oparł dłoń o mur zewnętrzny i pochylając głowę, zwymiotował, nie rozstawiwszy nawet nóg, żeby nie zabrudzić butów. Ciałem chłopca kilkakrotnie wstrząsnęły konwulsje, które Marii wydały się trwać w nieskończoność. Dopiero gdy Andrií zabrakło zółci, uniósł głowę, przymykając oczy zaczerwienione od wysiłku. Nikt nie widział, co się stało.

– Lepiej się czujesz? Umyj twarz nad zbiornikiem, no chodź!...

Andriá nie próbował udawać, że ma się lepiej, bez słowa podszedł do cementowego zbiornika do prania bielizny i posłusznie odkręcił kran. Kiedy opłukiwał twarz lodowatą wodą, odzyskał jasność umysłu. W gruncie rzeczy w ciągu tych wszystkich lat robił jedno: był posłuszny Marii, wypełniał polecenia Marii, słuchał Marii. Cieszył się z tego, ponieważ dziewczyna była inteligentna, dobra, nigdy nie prosiła go o zrobienie czegoś, co byłoby dla niego nieodpowiednie. Gdyby Nicola miał u boku kogoś takiego jak Maria, nie podłożyłby ognia na ziemi Manuele Porresu i dziś nie leżałby w domu w pozycji horyzontalnej, zimny jak żaba wśród śpiewów dwudziestu staruch w czerni. Z twarzą ociekającą wodą Andriá spojrzał na Marię, również ubraną na czarno, ale piękną, jakby miała na sobie suknię w kolorze pelargonii albo białą jak panna młoda. Andriá uważał, że w całym Soreni nie było dziewczyny, która dorównywałaby Marii urodą. Jego brat to wiedział, nie musiał mu tego mówić. „Powiedziałeś Marii Urrai, że się w niej zakochałeś, czy mam to napisać na ścianie jej domu?” Nawet po wypiciu dwóch litrów wódki Andriá nie zdobyłby się na

odwagę, żeby wyjawić dziewczynie swoje uczucie. Nicola doskonale o tym wiedział, ale nikomu nie mówił, bo miał swoje problemy: musiał podłożyć ogień na polu, przez co stracił nogę, później chęć do życia, wreszcie oddech w poduszce, bo ogień robi jedno i drugie, pali się nawet wtedy, gdy został ugaszony, nie wiedziałaś o tym, Mario? Nie widziałaś, jak płonie twój ogień?

– Co ty mówisz, Andriá?

Nawet nie zauważył, że wypowiada te słowa na głos, ale z chwilą, gdy się zorientował, nie widział powodu, żeby przestać. Po nieprzespanej nocy, z żołądkiem skurczonym ze smutku, dodał szeptem:

– Mario, wyjdiesz za mnie?

Spojrzała na niego jak na rozwieszoną bieliznę, która nie chce schnąć. Praktycznym ruchem podała mu ręcznik.

– Gdybym przed chwilą nie zobaczyła zawartości twojego żołądka, przysięgłabym, że jesteś pijany, Andriá. Wytrzymaj twarz.

– Nie jestem pijany, nigdy nie byłem bardziej trzeźwy niż w tej chwili – mruknął pod nosem, chwytając ręcznik. Kiedy wysuszył twarz, popatrzył na Marię, zbierając się na odwagę. – Wyjdiesz za mnie?

– Jeśli mówisz poważnie, odpowiedź brzmi: nie. Nie wyjdę za ciebie z tego samego powodu, z jakiego nie ożenię się z moją siostrą Reginą. – Było oczywiste, że nie traktowała go poważnie, Andriá dobrze to wiedział. Aż za bardzo.

– Nie wierzysz w ani jedno moje słowo. Traktujesz mnie jak kogoś, kto niczego nie rozumie...

– A jak chcesz, żebym cię traktowała, kiedy prosisz mnie o rękę nad własnymi wymiocinami, podczas gdy w domu wystawiono ciało twojego zmarłego brata?

W każdej innej chwili Andriá musiałby przyznać, że rozumowanie Marii było słuszne, i gdyby myślał logicznie, zachowałby milczenie, nie uczynił tego jednak.

– Jeśli ponownie zadam ci to pytanie jutro, po pogrzebie brata, odpowiesz mi czy nie?

Maria zaczynała rozumieć, że Andriá nie żartuje. Zbladła, zwlekając z odpowiedzią.

– Nie powinniśmy teraz o tym mówić...

Andriá, który znał Marię równie dobrze jak ona jego, wyczuł w jej słowach kolejną już próbę zbycia go, uśmiechnął się więc gorzko, ponieważ znał odpowiedź.

– Rozumiem. Ale ze mnie idiota! Naprawdę traktujesz mnie jak siostrę, jak kogoś, kto nie jest mężczyzną...

– Pleciesz bzdury, Andriá, nigdy wcześniej nie mówiłeś takich głupstw...

– Przeciwnie, nigdy nie rozumiałem wszystkiego tak dobrze jak teraz. To ty nie rozumiesz i nigdy nie rozumiałaś, co do ciebie czuję.

Maria ogromnie się zmieszała. Widząc cierpienie przyjaciela, gotowa była uczynić wszystko, o co poprosi, nawet skłamać, byle tylko pomóc mu je przetrwać. Ale nie to, o czym teraz mówił.

– Czy kiedykolwiek dałam ci do zrozumienia, że cię kocham?

Andriá spuścił wzrok na buty pochłapane wymiocinami.

– To dlatego, że się nie uczyłem? Że zatrzymałem się na szkole podstawowej?

– Nie, to nie ma nic do rzeczy...

– Myślę, że właśnie ma. Nasza pani zawsze ci powtarzała, że jesteś inteligentna, że do czegoś dojdiesz, że zasługujesz na to czy na tamto...

– Andriá, jestem krawcową. Nie zostanę narzeczoną księcia

Walii. Jestem warta tyle co ty.

– To dlaczego mnie nie chcesz?

– Bo cię nie kocham. Zawsze uważałam się za twoją siostrę.

– Miałem brata! – krzyknął ze złością, po czym dodał złośliwie: – Ale Bonaria Urrai mi go zabiła.

Maria rzuciła zdumione spojrzenie na Andrię, który z wykrzywioną twarzą i zaczerwienionymi oczami wydał jej się szalony. Nie chcąc go zawstydzić, odwróciła oczy, jakby wolała nie pamiętać go w takim stanie.

– Nie wiesz, co mówisz, Andriá – wyszeptała, odbierając od niego ręcznik, który zaczęła składać.

– Właśnie, że wiem. Zabiła go.

W jego uporczywości było coś, czego nie mogła zlekceważyć i co ją zdenerwowało. Przełamała skrupuły i ponownie spojrzała mu w oczy, przyjmując stanowczy ton.

– Dość już! Złe samopoczucie nie upoważnia cię do braku szacunku.

Odwróciła się, żeby wejść do domu, lecz Andriá a nie miał zamiaru dopuścić, by jej upomnienie było ostatnim słowem. Doskoczył do dziewczyny i chwycił ją za ramię.

– Puść mnie! Śmierdzisz wymiocinami.

– Nie, najpierw mnie wysłuchasz. Spytaj ciocię Bonarię, gdzie była tej nocy... – zasugerował szklanym wzrokiem, zbliżając twarz do jej twarzy.

– Spała jak wszyscy – odparła oschle Maria.

– O nie, ślicznotko. Nie wszyscy. Ja nie spałem, widziałem, co zrobiła. Przyszła tutaj i zabiła mojego brata, dusząc go poduszką.

Maria spojrzała na Andrię lodowatym wzrokiem, jakiego nigdy przedtem nie widział, sprawiając, że wolał zapaść się pod ziemię.

W tej chwili zapragnął cofnąć czas i słowa, które wypowiedział.

– Przyszła tutaj? – zapytała powoli.

Puścił jej ramię, cofając się o krok, później o drugi.

– Nie, nie było jej tutaj... Przepraszam. Sam już nie wiem, co mówię – wybełkotał, unikając jej spojrzenia.

To zaprzeczenie zaniepokoiło ją bardziej niż potwierdzenie. Podeszła do niego, nalegając, żeby mówił dalej.

– Powiedz, co widziałeś.

Słowa Marii były rozkazem. W tej samej chwili Andriá zrozumiał, że przekroczył granicę; nie mógł już odwołać tego, co powiedział. Przygnębiony własną lekkomyślnością, usiadł na ziemi, ze łzami w oczach opowiadając wszystko, co wydarzyło się ubiegłej nocy. Gdy Maria z niedowierzaniem słuchała jego słów, żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że w różnych miejscach domu płakano po stracie nie jednej, lecz trzech rzeczy: oddechu Nicoli, niewinności Andrií, zaufania Marii Listru do Bonarii Urrai.

Maria, wstrząśnięta pozbawionym sensu odkryciem, bez wyjaśnienia opuściła dom rodziny Bastíu, zostawiając w podwórzu szlochającego Andrię, którego płacz uszczęśliwieni krewni uznali za wybuch rozpacz po śmierci brata.

## 13

Choć Bonaria Urrai pochłonięta była zbiorowym obrządkiem żałoby, pośpiech, z jakim Maria opuściła dom, nie umknął jej uwagi, domyśliła się jednak powodu jej niestosownego zachowania. Stara kobieta nie mogła sobie pozwolić w takim dniu na luksus działania pod wpływem impulsu, gdyż Nicola Bastí u zasługiwał na jej szacunek aż do chwili złożenia w grobie. Była to dla niej jedyna okazja do wywiązania się ze złożonych obietnic, z Marią mogła przecież porozmawiać po powrocie. O tym właśnie pomyślała krawcowa z Soreni, kiedy siedziała obok Gianniny i Salvatore Bastíu niczym krewna, za jaką zawsze ją uważali, odmawiając *Wieczne odpoczywanie* z innymi żałobnikami, jakby chodziło o zmarłego różniącego się od wielu innych tylko imieniem.

Twarz Nicoli, człowieka pogrążonego w sztucznym milczeniu, który już o nic nie prosi, wydawała się spokojna, lecz to złudzenie było zbyt słabe, aby ukoić rozterki duchowe Bonarii Urrai. Stara kobieta przywykła do powściągliwości w okazywaniu uczuć, siedziała więc nieruchomo obok ciała zmarłego, jak to czyniła od lat, pomagając jego rodzicom wywołać z pamięci radosne chwile, które przywracały obraz Nicoli zdrowego, uśmiechniętego, budzącego szacunek ciałem i duszą. Wokół zmarłego przez wiele godzin słychać było głosy kobiet i mężczyzn, zgodnie z rytuałem



obejmującym kolejno płacz, modlitwę i wypominki. Żadnej części nie można było pominąć, ponieważ przestrzegania tego niepisanego kodeksu wspólnota potrzebowała do zachowania ciągłości między żywymi a zmarłymi. Z chwilą odrzucenia zakazu pojedynczego cierpienia nawet najbardziej kontrowersyjna śmierć dawała się połączyć z naturalnym dramatem każdego życia. Dlatego też kiedy ksiądz opuścił dom po wygłoszeniu kazania o obcowaniu świętych, mieszkańcy Soreni zgromadzili się, aby wspólnie celebrować obcowanie grzeszników, odpuszczając pozostałym przy życiu krewnym grzech jedynego cierpienia na świecie. Rozwiązanie innych problemów mogło poczekać.

Istnieją rzeczy, które można robić, oraz rzeczy, których robić nie wolno. Maria doskonale wiedziała, na czym polega różnica. Nie chodziło o to, co jest słuszne, a co niewłaściwe, ponieważ w środowisku, w którym wyrosła, te kategorie nie miały zastosowania. W Soreni słowo „sprawiedliwość” miało to samo znaczenie co najgorsze przekleństwo; wymawiano je tylko wtedy, gdy chciało się ściągnąć na kogoś cierpienie. Według mieszkańców Soreni sprawiedliwość mogła cię gonić, ale gdyby cię dopadła, obdarłaby cię ze skóry jak wieprza lub ukrzyżowała jak nieszczęśnika, zgwałciłaby cię dla zabawy jak ludzie, którzy zachowują się jak bestie, wytropiłaby cię, gdziekolwiek byś się ukrył, i z pewnością nie zapomniałaby twojego imienia ani imienia twojego potomka. Wszystko to jednak nie miało nic wspólnego z faktem, że istnieją rzeczy, które można robić, oraz rzeczy, których robić nie wolno.

Maria myślała obsesyjnie o tej różnicy, gdy kroїła cebulę na cienkie talarki, szykując kolację z taką samą hipnotyczną powolnością, z jaką starała się uporządkować myśli. Słowa

Andrii były szalone jak błysk w jego oczach i według dziewczyny nie miały żadnego sensu, lecz nabierały go z chwilą, gdy przypisała je określonym wspomnieniom. Kiedy kroїła pomidora, wyobraziła sobie postać starej krawcowej, która tego ranka siedziała przy kominku, ubrana i uczesana, jakby dopiero wróciła lub szykowała się do wyjścia. Maria już dawno przestała się zastanawiać nad tajemniczymi nocnymi wyjściami przybranej matki, które teraz powróciły na myśl, budząc podejrzenie, że Bonaria Urrai miała coś ważnego do ukrycia. Ponieważ podobna rzecz zdarzyła się Marii po raz pierwszy, nie potrafiła uporać się z tym domysłem, niezwykle trudnym do pogodzenia z zaufaniem, jakim darzyła kobietę. Nie przypuszczała, żeby Bonaria ją okłamywała, istnieją bowiem rzeczy, które można robić, oraz rzeczy, których robić nie wolno – myślała, wrzucając do skwierczącego oleju resztę pokrojonych warzyw. Drewnianą łyżką mieszała zapachy ze wspomnieniami, które z wolna ją otaczały, przywołując na pamięć popołudnie sprzed wielu lat, kilka miesięcy po zamieszkaniu u ciotki Bonarii jako jej duchowa córka.

Nie wyzbyła się złego nawyku wykradania drobiazgów, których zapragnęła, choć nie były jej potrzebne. Przywędrował z nią z domu Anny Teresy Listru i przez pewien czas jej towarzyszył, nie prosiła więc o pozwolenie za każdym razem, gdy mogła się bez niego obejść. Niekiedy był to owoc lub kawałek chleba, czasem zabawka albo resztką kolorowej tkaniny, odłożona na bok i przeznaczona na wykończenie. Sądząc, że nikt jej nie widzi, chwytala go w rękę i ukrywała, niezdolna oddzielić pragnienia od podstępu. Bonaria Urrai szybko zorientowała się, o co chodzi – również dlatego, że niewielkie braki powtarzały się z pewną regularnością. Ale tamtego popołudnia zdarzyło się to po raz ostatni, Maria dobrze

zapamiętała tę chwilę.

Był koniec października, pora wypieków, na kuchennym stole leżały składniki do pieczenia pabassinów<sup>[8]</sup> na święto zmarłych: skórka pomarańczy, ziarenka kopru włoskiego, płatki migdałów oraz słoik soku z opuncji, ciemnego i lepkiego jak karmel, o słodkim smaku i kwiatowej woni, który miał zmienić wyrabiane ciasto w aromatyczną masę. Każdy składnik znajdował się w oddzielnej torebce, z wyjątkiem rodzynek, moczących się w miseczce z esencją pomarańczową. W ostatniej chwili Bonaria zorientowała się, że brakowało otrębów do posypania blachy, aby ciastka do niej nie przywarły. Przed opuszczeniem kuchni nie zabroniła dziewczynce dotykać rzeczy na stole, lecz Maria nie miała najmniejszych wątpliwości, że łamie zakaz, kiedy chwyciła dwie garście płatków migdałowych i pobiegła do swojego pokoju, aby schować je w szufladzie. Kiedy Bonaria wróciła z otrębami, brakowało połowy migdałów, natomiast Maria bawiła się na podłodze z miną niewiniątka. Bonaria podeszła do dziewczynki, lecz jej nie skarciła.

– Brakuje migdałów.

Maria uniosła głowę, patrząc pytająco na ciocię. Brak odpowiedzi najwyraźniej nie zadowolił Bonarii.

– Wzięłaś je?

– Nie.

Rozległ się odgłos głośnego policzka, który pozostawił na twarzy Marii biały ślad. Dziewczynka spojrzała na kobietę z niedowierzaniem, z ustami otwartymi ze zdziwienia, zapominając o płaczu.

– Wstań! – nakazała surowo Bonaria.

Maria podniosła się powoli, wbijając wzrok w podłogę, aby ukryć palący wstyd, który malował się na twarzy razem

z zaczerwienieniem po otrzymanym policzku. Bonaria chwyciła dziewczynkę za ramię i bez ceregieli pociągnęła w kierunku pokoju. Zatrzasnęła za nią drzwi, dwukrotnie obracając klucz w zamku, a upewniwszy się, że są dobrze zamknięte, poszła do kuchni piec ciastka, nie odzywając się przez resztę dnia. Maria pozostała zamknięta w pokoju do wieczora, próbując zapomnieć o tym, co zrobiła. Trochę sobie popłakała, pobawiła się zabawkami, udając, że nic się nie stało, wreszcie położyła się na łóżku. Zmęczona stresem, nawet się zdrzemnęła. Kiedy otworzyły się drzwi pokoju, nie spała, usiadła więc na łóżku, jakby w oczekiwaniu. Bonaria podeszła do niej, przysunęła krzesło, które stało przy ścianie, i usiadła dokładnie na wprost Marii.

– Wiesz, dlaczego cię uderzyłam?

Maria spodziewała się tego pytania, więc kiwnęła przytakująco głową, rumieniąc się ze wstydu.

– Dlaczego?

– Bo ukradłam migdały.

– Nie.

Stanowczy sprzeciw Bonarii zaskoczył dziewczynkę, podważając jej własną interpretację popołudniowego zdarzenia. Nie odezwała się, patrząc na kobietę zdziwionym wzrokiem.

– Uderzyłam cię, bo skłamałaś. Migdały można dokupić, ale na kłamstwo nie ma sposobu. Zanim otworzysz usta, by coś powiedzieć, pamiętaj, że Bóg stworzył świat słowem.

W wieku sześciu lat nie jest się mocnym w teologii, więc Maria nie wiedziała, co odpowiedzieć na te słowa, zbyt trudne, żeby w pełni pojąć ich sens. Ale to, co zdołała zrozumieć, wystarczyło jej do oceny własnego postępowania. Już miała przytaknąć, kiedy Bonaria objęła ją delikatnie ramionami niczym kokon chroniący

jedwabnika. Po zawarciu tej jedynej w swoim rodzaju zgody Maria opuściła pokój, trzymając Bonarię za rękę, podczas gdy cały dom wypełniała woń świeżo upieczonych ciastek, stygnących na tackach niczym ciemne cegielki. Całymi latami zapach świeżych pabassinósów przywodził jej na myśl ten dzień. Bezwiednie przestała odczuwać potrzebę wykradania rzeczy, które i tak do niej należały, a z chwilą, gdy to zrozumiała, nie miała już kogo oszukiwać.

Maria Listru uśmiechnęła się na to wspomnienie, dolewając wody do rondla, w którym pomidory zmieniły się w gęsty, aromatyczny sos. Bez względu na to, co wydarzyło się tej nocy i co widział Andriá, gdy kończyła przyrządzanie sosu, nabrała przekonania, że kobieta, która nauczyła ją myć ręce przed jedzeniem, nie mogła jej oszukiwać. Istnieją rzeczy, które można robić, oraz rzeczy, których robić nie wolno – pomyślała – a robi się je właśnie tak – stwierdziła, próbując sosu, żeby sprawdzić, czy nie trzeba dosolić.

Maria przekonała się, jak bardzo się myliła, przed nastaniem wieczoru, kiedy Bonaria wróciła do domu po jednym z najcięższych dni w swoim życiu. Nie czekała na nią z kolacją, gdyż w czas narodzin i śmierci wiadomo, kiedy się wychodzi, ale nie wiadomo, kiedy się wróci. Woda w garnku na kuchence była już zimna, sos jeszcze nie wystygł. Maria czytała, jak zwykle po kolacji, tymczasem Bonaria była zbyt zmęczona, żeby dostrzec coś dziwnego w jej zachowaniu.

– Dlaczego tak szybko wyszłaś? Pokłóciłaś się z Andrią?

Mówiła wprost, kiedy miała pewność, że zna odpowiedź.

– Tak.

Maria spojrzała na nią z pozornym spokojem, obserwując lekko przygarbione plecy, zmęczoną twarz i czarną spódnicę, pogniecioną od długiego siedzenia. Bonaria wydała jej się stara w potocznym rozumieniu tego słowa, bliska swojego końca, podobnie jak dotrzymane obietnice.

– W dniu, w którym stracił brata? Zamiast go pocieszyć...

– Uczyniłam to.

– Nie sądzę. Poszłaś sobie.

Gdyby tak bardzo nie nalegała. Gdyby tak uporczywie nie domagała się odpowiedzi, Maria zapewne zachowałaby milczenie. Brak szacunku, który zarzucała jej Bonaria, zmusił dziewczynę do odparcia zarzutu, kierując rozmowę na bardziej ponury temat.

– Musiałam wyjść. Mówił rzeczy, których nie mogłam słuchać.

– Krewni zmarłych zawsze mówią to samo. Czego chciał? Umrzeć? Czuł się winny śmierci Nicoli?

Maria zamknęła książkę, nie dbając o zaznaczenie miejsca, w którym przerwała czytanie. Przyjęła pozornie obojętny ton.

– Nie, nie czuł się winny, ale obwinił was.

Bonaria stała nieruchomo, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Mnie? Niby dlaczego?

– Powiedział, że widział was tej nocy, kiedy weszliście do pokoju Nicoli i udusiliście go poduszką.

Gdyby nie chodziło o Nicolę, słowa te zabrzmiałyby nawet zabawnie. Nadając oskarżeniu formę zdania bez rozkaźników, Maria dostrzegła jego logiczną bezpodstawność oraz całkowity brak sensu. Mimo to Bonaria nie uśmiechnęła się.

– Tak ci powiedział?

– Tak, a potem zwymiotował i powiedział, że wszystko zmyślił.

Bonaria Urrai usiadła przy kominku, poprawiając fałdy spódnicy

niczym płatki czarnego kwiatu. Choć rozmowa dobiegła końca, Maria dodała:

– Był zupełnie wytrącony z równowagi, nie myślał logicznie...

Stara kobieta zwróciła twarz w stronę kominka, ukrywając ją w odruchu obronnym, zupełnie u niej nietypowym, dlatego też Maria nabrała dziwnych podejrzeń.

– Gdzie byliście tej nocy? – spytała półgłosem.

Zapanowała cisza, której Bonaria nie chciała zakłócać. Wpatrywała się w osmalone kawałki drewna, spalone z powodu zimy mroźniejszej niż zwykle. Rozmowę należało uznać za zakończoną. Maria gwałtownym ruchem podniosła się z krzesła, położyła książkę na stole nakrytym dla jednej osoby i podeszła do kobiety skulonej w takiej samej pozycji, w jakiej ujrzała ją rano.

– Wiem, że wychodziliście. Gdzie byliście?

Bonaria odwróciła wzrok od kominka i spojrzała na Marię, nie udzielając odpowiedzi. W oczach bez wyrazu dziewczyna dostrzegła coś, co ją przeraziło. Zachwiała się.

– To niemożliwe.

– Mario...

– Zrobiliście to... Naprawdę byliście u Nicoli tej nocy... – powiedziała, sama udzielając sobie odpowiedzi.

– Prosił mnie o to.

Słowa Bonarii były niczym w porównaniu ze wzburzeniem Marii.

– To niemożliwe...

Bonaria wstała z ciężkim westchnieniem. Od dawna wiedziała, że ta chwila musiała nadejść, lecz inaczej ją sobie wyobrażała.

– Co jest niemożliwe? Że mnie o to prosił czy że to zrobiłam? Masz oczy do patrzenia i nie jesteś głupia. Znałaś Nicolę i znasz mnie.

Na te słowa Maria pokręciła gwałtownie głową.

– Nie, nie znam was. Osoba, którą znam, nie wchodzi nocą do domów, żeby dusić poduszką kaleki...

Brutalność słów kontrastowała z szeptem dziewczyny, wątłym jak płomyk. W miarę jak utwierdzała się w swoich podejrzeniach, mnożyły się okrutne dowody prawdy.

– Giannina o tym wie? A Salvatore Bastiu?

– To bez znaczenia. – Bonaria wiedziała, że kłamie, mimo to kłamała.

– Waszym zdaniem to bez znaczenia, że matka i ojciec nie wiedzą, że syn zmarł na waszych rękach?

– Prosił o to, a ja mu obiecałam.

– Ale dlaczego Nicola zwrócił się z tym do was?

Stara Urrai zamilkła, patrząc Marii w oczy. Odpowiedź na te słowa nie istniała, a nawet jeśli istniała, ona jej nie znała. Nieoczekiwanie Maria odgadła prawdę i w tej samej chwili córka Anny Teresy i Sisinnia Listru zrozumiała, kim jest kobieta, którą ma przed sobą. Otworzyła usta, żeby dać ujście oszołomieniu w przekleństwie, ale wyszło z nich jedynie sapanie rodzącej, zdławiony szloch zabijanego zwierzęcia. Położyła dłoń na ustach, wpatrując się w bladą twarz accabadory.

– Za każdym razem, kiedy wracaliście nocą... – wyszeptała.

– Powiedziałabym ci o tym w swoim czasie. – Bonaria nawet nie próbowała uspokoić córki.

– Kiedy? Kiedy chcieliście mi to powiedzieć? Zabralibyście mnie ze sobą? Żebym wam pottrzymała szal, kiedy to robicie? – W Marii wzbierał gniew niczym gorzka piana. – Kiedy byście to zrobili?

– Na pewno nie teraz... ale kiedy byłabyś gotowa...

– Gotowa! – Słowo to zadźwięczało w pokoju jak przedmiot



rzucony na ziemię. – Nigdy nie byłabym gotowa pogodzić się z myślą, że mordujecie ludzi!

Z chwilą, gdy stało się jasne, że nie powstrzyma wybuchu złości Marii, Bonaria przestała się zastanawiać nad delikatniejszym sposobem przedstawienia sprawy.

– Nie mów o rzeczach, o których nie masz pojęcia, Mario Listru! W życiu będziesz dokonywała wyborów, które nie zawsze będą ci odpowiadały, i robiła rzeczy, które trzeba robić jak wszyscy.

– Takie jak ta? – spytała Maria szyderczym tonem, nie próbując go ukryć. – Jak dokonujecie tej koniecznej rzeczy? Wyjaśnijcie mi, przecież i tak mieliście mi to powiedzieć! – ciągnęła, chodząc miarowym krokiem wokół stołu. – Zawsze wchodzicie po kryjomu jak do domu Nicoli? Zaraz, niech pomyślę... wzywa was rodzina, podobnie jak owej nocy, kiedy przyszedł Santino Littorra! – Im wyraźniejsze stawało się wspomnienie, tym większa złość ogarniała dziewczynę. – I co dalej? Jak to robicie, powiedzcie mi, ciociu!

Bonaria Urrai zbyt wiele przeżyła, aby dać się sprowokować. Wiedziała, że nie przyniesie to nic dobrego.

– Chcesz oceniać moje postępowanie, zanim zrozumiesz jego powód? Zawsze ci było spieszo do wydawania sądów.

– Wcale mi się nie spieszy, przeciwnie. Jeśli coś musi się zdarzyć, to i tak się zdarzy bez niczyjej pomocy.

Kobieta zdjęła szal, rzucając go bezładnie na krzesło. Jej ciemne oczy spoglądały surowo na Marię. Bez względu na to, co się przydarzyło Nicoli, Bonaria Urrai była pewna swoich racji.

– Bez niczyjej pomocy? – wyszeptwała smutno. – Może też urodziłaś się samodzielnie? Sama wydostałaś się z łona matki? Czy może ktoś ci pomógł, podobnie jak wszystkim żyjącym?

– Ja zawsze... – próbowała odpowiedzieć Maria, ale stara kobieta

przerwała jej władczy gestem.

– Zamilcz, nie wiesz, co mówisz! Sama przecięłaś pępowinę? Sama umyłaś się i wykarmiłaś? Czy nie urodziłaś się dwa razy dzięki innym? A może jesteś na tyle zdolna, że wszystkiego dokonałaś sama?

Maria, przywołana do porządku ciosem poniżej pasa, według niej wymierzonym złośliwie, zamilkła, podczas gdy Bonaria ciągnęła ściszone głosem, przypominającym beznamiętną litanię.

– Inni za ciebie zdecydowali, inni też zdecydują, kiedy przyjdzie na to czas. Żaden człowiek nie dokona swoich dni, o ile wcześniej nie miał ojca i matki, sama wiesz najlepiej.

Stara krawcowa mówiła szczerze, jakby zwierzała się nieznanym w pociągu, wiedząc, że nigdy więcej ich nie spotka.

– Nigdy nie rodziłam – ciągnęła. – Bóg jeden wie, jak bardzo tego pragnęłam, ale nauczyłam się, że dzieci trzeba czasem skarcić, a czasem przytulić, trzeba im dać i mleko, i świąteczne wino, wszystko, czego potrzebują. Miałam swoją rolę do spełnienia i spełniłam ją.

– Jaką rolę?

– Ostatnią. Byłam ostatnią matką, którą niektórzy widzieli.

Na te słowa Maria zamilkła na dłuższą chwilę, czując, że złość ją opuszcza. Kiedy się odezwała, Bonaria uświadomiła sobie, że nie zdołają się porozumieć.

– Dla mnie byliście pierwszą i jeśli zapragniecie umrzeć, nie zabiję was tylko dlatego, że tego chcecie.

Bonaria Urrai spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem.

– Nie byłabym tego taka pewna, nie zażegnuj się. Możesz się znaleźć w wodzie, nie zauważając, że do niej weszłaś.

Stara kobieta wzięła do ręki szal leżący na krześle i powoli

zaczęła go składać, świadoma, że jest jedyną rzeczą, którą mogła doprowadzić do porządku.

– Kiedy nadejdzie czas, odkryjesz w sobie rzeczy, których nie podejrzewasz.

– Nie nadejdzie taka chwila... – odparła Maria, nieoczekiwanie podejmując decyzję – ...odchodzę od was.

Kobieta nie dała po sobie poznać, że te słowa ją zaskoczyły. Nawet nie spojrzała na Marię.

– Rozumiem.

– Natychmiast. Jutro.

– Dobrze, porozmawiam z twoją matką.

– Nie... – Dziewczyna się zawahała. – Nie chcę wracać do matki. Znajdę jakieś rozwiązanie.

– Jak chcesz. – Bonaria nie to pragnęła powiedzieć, ale w tych dniach uczyniła wiele rzeczy, których uczynić nie chciała.

– Mam wobec was dług wdzięczności, oczywiście wypełnię swój obowiązek... – dodała półgłosem Maria.

Bonaria popatrzyła na nią.

– Niczego od ciebie nie potrzebuję, Mario Listru – rzekła cicho.

Poszły spać bez słowa, bo też nie było nic do dodania, ale żadna z nich nie mogła zasnąć. Woda w garnku na zgaszonym palniku nie była jedyną zimną rzeczą w domu Taniejego Urrai owej nocy.

Kiedy następnego dnia o poranku nauczycielka Luciana otworzyła Marii drzwi, była pewna, że dziewczyna przyszła zwrócić książkę, którą jej pożyczyła. Tymczasem Maria stała przed nią z walizką w ręku, nie umiejąc sensownie wyjaśnić celu swojej wizyty. Jako nauczycielka z trzydziestoletnim stażem Luciana wiedziała, że czasem nie należy zadawać pytań. Po tygodniu Maria miała w ręku bilet na statek do Genui oraz mieszkanie w Turynie

przy ulicy Della Rocca, gdzie rodzina Gentili niecierpliwie czekała na opiekunkę do dzieci z Sardynii, poleconą przez Lucianę Tellani.

---

<sup>[8]</sup> Rodzaj sardyńskich ciastek – przyp. tłum.

# 14

Inne życie. Takich słów użyła pani nauczycielka. Potrzebujesz innego życia, w którym nikt nie będzie wiedział, kim jesteś ani kto cię urodził. Maria nie mówiła jej o tym, co się stało, ani o tym, co powiedziały sobie z Bonarią, ale wystarczyło, by uważnie spojrziała w zielone oczy turyнки, aby zrozumieć, że była jedyną osobą w wiosce, która nie wiedziała, kim naprawdę jest Bonaria Urrai. Na próżno próbowała uporać się z pustką po bolesnym rozczarowaniu, przypominającym śmierć, bez pociechy czuwania przy drogim zmarłym i bez pogrzebu, który pozwoliłby dać ujście tłumionym łzom. Przez wiele lat mieszkała z Bonarią ze świadomością podwójnych narodzin: jednych nieuzasadnionych, ale też jednych zasadnych, teraz jednak rachunki wydawały się pełne błędów i skreśleń, kolejny raz stawiając ją poza nawiasem niczym zbędną resztkę.

Inne życie – powtarzała jej Luciana Tellani stanowczym tonem, jakby ponowne narodzenie się było błahostką. Jej słowa okazały się jednak właściwe, nauczycielki zawsze mają je w zanadrzu na podobne okazje: możliwość decydowania o przynajmniej jednych spośród zbyt licznych narodzin przekonała Marię do wyjazdu.

Podczas podróży morskiej z Olbii do Genui, uczepiona barierki lepkiej od soli morskiej na pokładzie „Tirrenii”, czuła się silna,

dorośla, prawie wolna, bez owego smutku w oczach, który często cechował ludzi zmuszonych do emigracji za chlebem, nietroszczących się o możliwość samodzielnego wyboru imienia na chrzcie. Myśl o rozpoczęciu nowego życia, o przecięciu pępowiny w momencie wybranym przez nią, bez akuszerki ani zobowiązań, przypomniały Marii odległy dzień na podwórzu Anny Teresy Listru, kiedy pod drzewkiem cytrynowym sama decydowała, co dodać do ciasta z błota. Podczas tej podróży starała się ani na chwilę nie zasnąć. Wykorzystała każdą minutę, żeby stać się accabadorą własnych wspomnień i odnieść się do wydarzeń, które skłoniły ją do wyjazdu, jak do osób wpuszczonych lub niewpuszczonych na prom. Analizowała je po kolei, pragnąc wymazać z pamięci, a kiedy dotarła do portu w Genui i wyszła na ląd, poczuła się lżejsza, pewna, że pozostawiła za sobą balast odniesionych ran.

Mieszkanie Attilia i Marty Gentilich znajdowało się na piątym piętrze eleganckiej kamienicy w zabytkowym centrum miasta, miało ściany w kolorze kremowym, zupełnie niepodobnym do jaskrawych barw domów w Soreni. Maria widziała taki kolor jedynie w szkole i w szpitalu, dlatego też poczuła onieśmienie i lekkie zażenowanie spotęgowane naturalnością, z jaką państwo Gentili zaczęli mówić do niej per ty. Salon, do którego zaprosiła ją pani Gentili, zanim poszła po dzieci, był przestronny, ozdobiony ogromnym żyrandolem z przyciemnionego szkła, którego zaokrąglone, lśniące części zwieszały się z sufitu niczym olbrzymia kiść cukierków do ssania. Kiedy została sama, w ciągu kilku minut poddała się urokowi wysokiego sufitu oraz secesyjnych okien zajmujących całą ścianę. O czwartej po południu, kiedy słońce znajdowało się po drugiej stronie budynku, można było wyobrazić

sobie eksplozję światła, które zalewało wnętrze w pogodny poranek. Próbując zachowywać się swobodnie, Maria usiadła na skraju kremowej kanapy, lecz czuła się skrępowana ogromem wolnej przestrzeni, której z pewnością nie zdołał ogrzać niewielki marmurowy kominek obok drzwi. Na widok wchodzących do salonu dzieci państwa Gentilich podniosła się, zupełnie nieświadoma, że jej drobna sylwetka, okryta płaszczem w ciemnozielonym kolorze, mogła im się wydawać rozdarcie w tapicerce. Piergiorgio i Anna Gloria szli przed matką, trzymając się za ręce, w niemal identycznych ubraniach, które tworzyły wrażenie bliźniaczego podobieństwa. Maria uśmiechnęła się nieśmiało, lecz Piergiorgio – który potrafił już dostrzec różnicę między szczerością a udawaniem – patrzył na nią z dumą i skrępowaniem swoich piętnastu lat, nie puszczając dłoni siostrzyczki.

– Dzieci, to jest Maria...

Widząc szeroki gest, jakim matka wskazała ją dzieciom, Maria poczuła się jak część umeblowania, co w głębi duszy ją zirytowało, kiedy jednak tym ruchem ręki Marta Gentili objęła również dzieci, zrozumiała, że był wyrazem jej sposobu postrzegania rzeczywistości.

– ...a to są moje dzieci. Nie daj się zwieść ich minom aniołków, to prawdziwe rozrabiaki. Zwłaszcza Piergiorgio!

Maria uśmiechnęła się życzliwie, choć według niej dzieci w niczym nie przypominały aniołków. Ale były bardzo ładne. Miały włosy w nieokreślonym kolorze blond, który z wiekiem ciemnieje, ale gdy Anna Gloria odziedziczyła po matce jasną karnację jak u porcelanowej lalki, Piergiorgio miał nietypową, złocistą skórę majtka okrętowego, tworzącą wrażenie ciepła, z którą kontrastowały zimne, niebieskie oczy. Obydwoje mieli wyniosłe

spojrzenia, typowe dla osób z zamożnego domu, odnosiło się nawet wrażenie, że we wzajemnych relacjach utracili dziecięcą spontaniczność. Uważnemu spojrzeniu nie uszły małe kłykcie zbiegające od mocnego uścisku, pozwalające przypuszczać, że sprawy miały się inaczej. Kiedy Maria, obdarzona zmysłem obserwacyjnym, przyglądała się dzieciom, zrozumiała intuicyjnie, że jej praca nie będzie tak łatwa, jak sądziła, ale na dłuższą metę mogła się okazać niezwykle ciekawa.

Zgodnie z umową, na podstawie której została przyjęta, Maria spędzała z dziećmi czas pozaszkolny, towarzysząc im w zabawach i w odrabianiu lekcji, bez względu na to, czy rodzice byli w domu, czy też nie. Przydzielono jej żółty pokój – niewielkie pomieszczenie usytuowane między dużymi pokojami dzieci. Ponieważ było ono połączone z obydwoma pokojami, stwierdziła, że zostało pomyślane jako obszerna garderoba, gdzie w przyszłości, kiedy nie będzie potrzeby zatrudniania opiekunki, umieszczone zostaną ubrania rodzeństwa.

Maria od razu zauważyła, że dzieci nigdy nie wychodziły z domu, aby pobawić się z rówieśnikami. Wprawdzie budynek Gentilich nie miał podwórka, lecz znajdował się w pobliżu dużego parku Valentino i wysadzanych drzewami alei wzdłuż Padu, magicznego miejsca, gdzie liczba potencjalnych pokus była tak duża, że dzieci mogły oszaleć ze szczęścia. Marta Gentili była nieprzejednana co do jednego: dzieci mogły wychodzić tylko z nią i z ojcem. Zabawa poza domem bez rodziców nie wchodziła w grę i Maria szybko się zorientowała, że miała obowiązek tego dopilnować. Tak naprawdę zakaz nie sprawiał większych trudności, jako że Piergiorgio nie przejawiał chęci wychodzenia z domu, natomiast Anna Gloria, choć była niespokojnym dzieckiem, wydawała się usatysfakcjonowana



licznymi wspaniałymi gramami, które mieli do dyspozycji. Natomiast Maria w wolnym czasie wychodziła, kiedy tylko mogła, żeby pospacerować ulicami, ostrożna i ciekawa miasta. Pani Gentili opowiedziała jej dziwną historię o prostopadłych ulicach Turynu, wytyczonych podobno, zanim powstały miejsca, do których miały prowadzić. Pomysł turyńczyków, żeby na pierwszym miejscu postawić komunikację, a dopiero potem zabrać się do wznoszenia domów, placów i pałaców, wydał się Marii tak absurdalny, że w pierwszych listach do sióstr opowiadała o nim jak o zabawnej ciekawostce. Uporządkowany układ ulic kłócił się z jej zdrowym rozsądkiem, ponieważ według niej jedynie w Soreni powstawały one w prawidłowy sposób, wyrastając między domami niczym krawieckie ścinki, skrawki, krzywe resztki, wytyczone jedna po drugiej w przestrzeniach, które przypadkiem ocalały z nieregularnej zabudowy, gdzie domy opierały się o siebie jak stare pijaczyny po święcie patrona. Marta Gentili wyjaśniła Marii, że regularna sieć ulic w Turynie podyktowana była względami bezpieczeństwa, jako że stolica królestwa nie mogła posiadać żadnych zakamarków, które nadawałyby się na kryjówki rebeliantów i wrogów. Tymczasem Maria utwierdziła się w przekonaniu, że rzeczy projektowane jako zbyt linearne są w istocie przejawem słabości, nikt bowiem nie zadawałby sobie trudu wytyczania prostych ulic, gdyby nie odczuwał lęku.

Lubiła spacerować bez celu, przemierzając eleganckie podcienia i oglądając witryny, w których wystawiono ciasta z polewą czekoladową lub gotowe ubrania upięte na manekinach z precyzyjną dokładnością. Zatrzymywała się przed sklepami odzieżowymi, przyglądała się im krytycznym okiem krawcowej, doszukując się za szybą źle uszytego brzegu lub niedbale

wykończonego mankietu, a kiedy odkryła defekt, uśmiechała się z satysfakcją, jakby w odwecie. W takich chwilach zdarzało jej się myśleć o Bonarii Urrai, lecz przez większość czasu skupiała uwagę na zapoczątkowanej na promie delikatnej operacji odsuwania wszystkiego w niepamięć, której nieodłączną częścią były spacery. Jedyną rzeczą, do której nie mogła przywyknąć, było dotkliwe zimno Turynu, przy czym nie chodziło po prostu o niską temperaturę powietrza – dobrze jej znaną – lecz o tak ostry mróz, że aby go wytrzymać, należało płytko oddychać. Zimno odbierało jej przyjemność spacerowania, gdyż mimo szybkiego kroku po kilku minutach przenikało przez grube sukno płaszcza, docierając aż do szpiku kości.

Po pierwszych spacerach Maria wracała do domu ze sztywnymi mięśniami i skurczonym żołądkiem, po godzinie przechodził jej ból głowy, który ścisnął skronie niczym imadło. Choć nie potrafiła zrozumieć, jak turyńczycy mogą znieść tak surowy klimat, myśl o zrezygnowaniu z przechadzek była jej równie wstrętne jak kapitulacja bez walki. Kiedy za trzecim razem wróciła do domu skostniała z zimna, postanowiła zadbać o odpowiednie wyposażenie. Za zgodą Marty Gentili zaczęła wyjmować z kosza w salonie gazety, które pan domu już przeczytał, udawała się do swojego pokoju i przypinała kartki papieru na wysokości piersi, pleców i brzucha, po czym wkładała zielony płaszcz i wychodziła z domu. Poruszając się z przytłumionym szelestem zadrukowanego papieru, odnosiła wrażenie, że zimno przenika przez płaszcz z większym trudem. Ten mały sekret towarzyszył Marii przez całą zimę – przy sprzyjającym współudziale samotności. Gdyby miała przyjaciółkę, z którą mogłaby chodzić na spacery, nie wiedziałyby, co jej powiedzieć, na przykład przy stoliku w kawiarni, jako że

wolała pić gorącą czekoladę, nie zdejmując płaszcza. Zadbła jednak o to, żeby nie mieć przyjaciółki. Tymczasem Attilio Gentili był przekonany, że opiekunka jego dzieci jest namiętą czytelniczką gazet, o czym myślał z zadowoleniem.

Zajmowanie się Anną Glorią nie było tak trudne, jak na początku myślała. Stało się tak zapewne dlatego, że wyczuwając nieufność dziewczynki, Maria, równie podejrzliwa, nigdy nie popełniła błędu, by zdobyć jej zaufanie pochlebstwami, do których miała być najwyraźniej przyzwyczajona. Instynktowna niechęć dziewczynki, znudzonej zabawkami, którymi ją obsypywano, ustąpiła miejsca ciekawości i pasji do łamańców językowych i gry słów, w których Maria była mistrzynią. Wspólnie wypełniały pokój śmiechem i zabawną wymową, gdy Maria prostowała kolejno palce zaciśniętej dłoni dziewczynki, mówiąc swoją ulubioną rymowanekę:

– Custu est su procu, custu dd'at mottu, custu dd'at cottu, custu si dd'at pappau et custu... – w tym momencie mocno poruszała jej małym palcem, rozśmieszając ją do łez – ...mischineddu! No ndi nd'est abarrau!

– Nic nie rozumiem! – skarżyła się Anna Gloria, pohamowując wesołość, jaką budził w niej dźwięk niezrozumiałych słów.

– Nie rozumiesz, bo nigdy nie widziałas, co spotyka prosiaczka z licznej rodziny.

– A co go spotyka? – Dziewczynka wyciągała zaciśniętą dłoń, domagając się powtórzenia zabawy.

Maria ponownie pochylała się nad nią z porozumiewawczym spojrzeniem, chwyciła ją za dłoń i kolejno prostowała palce, zaczynając od kciuka.

– To jest prosiaczek, tego zabili, tego ugotowali, tego zjedli, a tego... – powiedziała, poruszając małym palcem jak

dzwoneczkiem – ...biedaczek! Z tego nic nie zostało!

Maria nauczyła Annę Glorię wielu innych wyliczanek, zarówno po włosku, jak i po sardyńsku. Dziewczynka często je recytowała, wprawiając w zdumienie rodziców, którzy zachwycali się tym przebłyskiem talentu. Dzięki wspólnym zabawom słownym po trzech tygodniach stały się nie tyle przyjaciółkami, ile raczej współpracownikami, co pozwoliło Marii przynajmniej częściowo zapanować nad zbuntowaną, rozpieszczoną dziewczynką.

Piergiorgio to była zupełnie inna para kaloszy. Nie lubił się spoufalać, a choć nie był nieuprzejmy, każdy jego gest czy słowo świadczyły o chęci trzymania się na dystans. Zazyłość łącząca siostrzyczkę z sardyńską opiekunką najwyraźniej go irytowała, podczas ich wspólnych zabaw siadał w pokoju, obserwując je uważnie i trzymając się w odpowiedniej odległości, aby nie udzieliła mu się łącząca je więź. Obdarzony naturalną elegancją, bardzo wysoki jak na swój wiek, nie miał nic z zabawnego, młodzieńczego onieśmienia Andrii Bastiu. Pomimo wyraźnych oznak rodzącej się w nim męskości, która zaciekle konkurowała z dziecięcym wyglądem, w ponurym spojrzeniu chłopca było coś skończonego, co ją niepokoiło i skłaniało do zachowania ostrożności.

Maria zrozumiała, co kryło się za tym zachowaniem, w pewien jesienny dzień. Piergiorgio miał wówczas szesnaście lat, jego siostra jedenaście, ona zaś pracowała u państwa Gentilich od roku i dziesięciu miesięcy. Przez cały ten czas oszukiwała swoje siostry, pisząc, że jest szczęśliwa, że wszyscy traktują ją jak córkę i że nie ma ochoty wracać do Soreni. Od czasu do czasu Regina pisywała jej o Bonarii, której dokuczały zwykle dolegliwości wieku, lecz Maria regularnie pomijała fragmenty dotyczące starej krawcowej.

– Może pójdziemy do parku Valentino? Taka piękna pogoda...

Propozycja Anny Glorii, wypowiedziana z udawaną naturalnością, rozproszyła skupienie brata, odrabiającego łacinę, jednocześnie zaś wprawiała w zdumienie Marię, która właśnie przyszywała lamówkę do brzegu spódnicy. Attilio i Marta Gentili wyjechali w rejon Langhe, do Remottich, których często odwiedzali. Mieli wrócić następnego dnia.

– Nie! – Ton Piergiorgia nie pozostawiał cienia wątpliwości.

– Dlaczego? Nigdy nie wychodzimy, zawsze siedzimy w domu lub w szkole, w dodatku jeździmy do niej samochodem. Nigdy się nie ruszamy, strasznie się nudzę... – Anna Gloria zwróciła się do Marii z nadzieją, że poprze jej inicjatywę. – Co ty na to?

Piergiorgio popatrzył na Marię, jakby pragnął zniechęcić ją do odpowiedzi, po czym spytał:

– Od kiedy to rządzi Maria?

– Jeśli nie ona, to kto? Może ty? – odcięła się ostro siostra.

– Rządzą rodzice i dobrze wiesz, że nie życzą sobie, żebyśmy wychodzili.

– Nie chcieli, kiedy byliśmy mali, ale teraz jesteśmy duzi. Poza tym będzie z nami Maria...

Anna Gloria najwyraźniej nie zamierzała się poddać, już od dawna musiała szykować się do tego przedsięwzięcia, Piergiorgio domyślił się tego, ponieważ wstał i trzema długimi krokami pokonał odległość dzielącą go od siostry.

– Ty jeszcze jesteś mała, a ja nie mam ochoty wychodzić. Zostajemy w domu, jasne?

Dziewczynka zamilkła, wytrzymując spojrzenie oczu łudzaco podobnych do swoich, które wcale jej nie onieśmieliło. Była wściekła z bezsilności, lecz nie odezwała się słowem.

– W porządku – podsumował brat, zadowolony z milczenia

siostry.

Uznawszy, że to koniec rozmowy, Piergiorgio ponownie usiadł przy biurku, zupełnie nie zwracając uwagi na Marię. Anna Gloria podniosła się nagle znad książki do geografii, strącając ją umyślnie na podłogę. Rzuciwszy Marii obrażone spojrzenie, szybkim krokiem opuściła pokój, trzaskając drzwiami tak mocno, aż zatrząsnął się zegar z malowanego drewna wiszący na ścianie. Piergiorgio udawał, że nic nie słyszy, nie odrywając wzroku od zeszytu do łaciny. Po niespełna dziesięciu minutach dał się słyszeć odgłos wody płynącej z prysznic. Maria zachowała spokój, była przyzwyczajona do kłótni rodzeństwa, które mijały równie szybko, jak wybuchały. Zdarzały się jednak coraz częściej, w miarę jak Anna Gloria dorastała i coraz trudniej było jej znieść autorytet brata, dotychczas niepodważalny. Po kłótniach Piergiorgio udawał obojętność, lecz Maria dobrze wiedziała, że z dala od siostry czuł się bezbronny. Szanowała tę tajemnicę, świadoma, że wzajemna gra w udawanie upodobniała się do współnictwa łączącego rodzeństwo. Kiedy po dwudziestu minutach woda nadal lała się z prysznic, Piergiorgio uniósł głowę znad książek, patrząc na Marię pytająco.

– Jak długo można brać prysznic?

Dziewczyna oderwała nitkę, zawiązała supełek i położyła spódnice na łóżku, po czym wstała, żeby sprawdzić, co się dzieje. Drzwi do łazienki nie były zamknięte na klucz, a kiedy Maria weszła do pomieszczenia po bezskutecznym pukaniu, woda lała się strumieniem do brodzika pod prysznicem. W mgnieniu oka zrozumiała, że Anna Gloria nawet nie weszła do kabiny.

– Nie ma jej! – krzyknęła głośno.

Kiedy wróciła szybkim krokiem do pokoju, Piergiorgio Gentili nerwowo wkładał płaszcz. Wziął klucz z szafki i szykował się do

wyjścia, nie zważając na Marię.

# 15

Zbiegli ze schodów na złamanie karku – on zwinny jak kot, ona tuż za nim, w powiewającym płaszczu, którego nie zdążyła zapiąć. Piergiorgio w jednej chwili zorientował się, że Anny Glorii nie ma na ulicy, więc pognał jak szalony w kierunku parku Valentino. Maria biegła za nim z sercem, które omal nie wyskoczyło jej z piersi, bardziej przerażona jego niepokojem niż nagłym zniknięciem dziewczynki. Od pewnego czasu zachowanie małej wskazywało na to, że jej bunt był tylko kwestią czasu, nie przewidziała natomiast tak gwałtownej reakcji brata. Biegła za nim z nadzieją nie tyle na to, że znajdą Annę Glorię – tego był pewna – ile że dotrze do niej razem z Piergiorgiem, całkowicie wyprowadzonym z równowagi.

Dotarli do parku, przemierzali go wzdłuż i wszerz, lecz nie było ani śladu Anny Glorii. Biegali, zatrzymywali się, przeszukiwali wzrokiem wąskie alejki, przeszli szybkim krokiem wzdłuż głównej alei, a po dwóch godzinach stanęli ramię w ramię, ciężko dysząc – on z przerażeniem w oczach, ona z mniejszym optymizmem co do wyniku poszukiwań. Przełamując milczenie, spowodowane brakiem tchu i natężoną uwagą, niemal równocześnie zaczęli ją wołać, jakby się zmówili.

– Anno Glorio! – krzyczała głośno Maria.



– Anno! – wtórował jej Piergiorgio zdławionym głosem.

Kilka osób, zaalarmowanych krzykami, odwróciło się, żeby popatrzeć z ciekawością na młodą kobietę i chłopca, nikt jednak nie odpowiedział na ich wołanie.

Była szóstka po południu, słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy zmęczeni i spoceni wyszli z parku, patrząc na siebie z niepokojem.

– To twoja wina – syknął Piergiorgio.

Maria drgnęła, lecz nie broniła się przed niesłusznym oskarżeniem, ponieważ doskonale wiedziała, że to prawda: bez względu na to, co się wydarzyło, to ona ponosiła winę. Nie spuściła jednak wzroku, świadoma, że w tej chwili najważniejszą rzeczą nie było szukanie winnego.

– Chodźmy nad rzekę – zaproponowała, starając się opanować.

Zaczęli iść w stronę domu wzdłuż rzeki, nie przestając nawoływać Anny Glorii i uważnie obserwując groble, z obawą, że dostrzegą ślad upadku, obiekt unoszący się na wodzie lub nieruchome ciało na brzegu porośniętym drzewami, skąd unosiła się lekka mgła, która utrudniała poszukiwania. Nic nie znaleźli, co wcale nie podniosło ich na duchu, wrócili na ulicę Della Rocca pełni niepokojem, lecz ze skrytą nadzieją, że Anna Gloria na nich czeka.

Dziewczynka siedziała na schodach przed kamienicą, wyraźnie zdenerwowana, nie okazując żadnej skruchy za swój wybryk. Kiedy Piergiorgio zatrzymał się pośrodku ulicy, Maria przeraziła się błyskiem, który dostrzegła w jego niebieskich oczach. Jednak jego siostra niczego nie zauważyła, wstała i wybuchnęła:

– Nareszcie! Ile można czekać! Sterczę tu już od godziny! Co wam strzeliło do głowy, żeby tak po prostu wyjść?!

Obydwoje popatrzyli na nią z niedowierzaniem. Maria już miała odpowiedzieć, lecz Piergiorgio ją uprzedził, a jego spokojne słowa

przeraziły dziewczynę bardziej niż krzyk.

– Mieliśmy ochotę na spacer. Odkąd to muszę ci się tłumaczyć z tego, co robię?

Nie czekając na odpowiedź, chłopiec z ostentacyjną obojętnością wszedł po schodach i wyjął z kieszeni klucze, po czym zręcznym ruchem otworzył drzwi wejściowe. Przytrzymując je, czekał, aż wejdą do środka. Kiedy Maria przechodziła obok niego, zauważyła, że po raz pierwszy, odkąd go poznała, był blady jak siostra. Piergiorgio rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Mocą milczącego porozumienia przez cały wieczór zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Anna Gloria nie wracała do tematu, zwiedziona ich milczeniem, które utwierdziło ją w przekonaniu, że swoim buntem zdołała – przynajmniej częściowo – złagodzić uciążliwy zakaz.

Oczywiście myliła się, w Piergiorgiu natomiast jakby coś pękło. Maria przez całą noc wyraźnie słyszała dochodzący z jego pokoju tłumiony płacz. O ile Anna Gloria często wchodziła w piżamie do łóżka Marii, żeby odpędzić nocne koszmary lub zwierzyć się ze skrytych myśli, które można wyznać wyłącznie w ciemnościach, o tyle przez dwa lata nigdy się nie zdarzyło, aby drzwi do pokoju Piergiorgia pozostały otwarte. Żadne z nich nie zwracało na nie uwagi, były po prostu drzwiami narysowanymi na tapecie. Kiedy jednak Maria usłyszała płacz, nic nie mogło jej powstrzymać przed rozbiciem niewidocznej bariery ich obcości. W wyniku napięcia nagromadzonego w ciągu dnia wszelkie zasady stały się mało przejrzyste, nieskuteczne, zepchnięte w otchłań tymczasowego zawieszenia.

Kiedy Piergiorgio zauważył, że drzwi do jego pokoju się otworzyły, szloch nagle ucichł. W ciemnym pokoju dał się słyszeć jego łamiący się, lecz ostry głos:

- Czego chcesz?
- Słyszałam twój płacz.
- I co z tego? Wyjdź!
- Nie.
- Powiedziałem, żebyś wyszła. To nie twój pokój.

Maria zrobiła krok do przodu, nie obawiając się, że potknie się o coś w ciemnościach – wiedziała, że chłopiec utrzymuje w pokoju pedantyczny porządek. W świetle nagle zapalonej lampy ukazał się Piergiorgio, który siedział w ubraniu na łóżku, oparty plecami o wezłowie, z poduszką wciśniętą między kolana, wilgotną od ugryzień mających stłumić płacz. Jego twarz była zaczerwieniona jak u dziecka, ale zaciśnięte szczęki i gniewne spojrzenie nie miały w sobie nic dziecięcego.

- Porozmawiajmy...
- O czym?
- Dobrze wiesz. O tym, co się dziś wydarzyło.
- Nie mam ci nic do powiedzenia. Poza tym nic się nie wydarzyło.

Maria dostrzegła w jego oczach tę samą dziką nienawiść, z jaką czynił jej wyrzuty w parku.

- Przepraszam.

Chłopiec zawahał się wobec tej kapitulacji bez walki, ale nadal ścisnął w rękach poduszkę jak tarczę.

- Za co przepraszasz? – zapytał.
- Nie wiem – wyszeptała Maria, i to była prawda. – A ty co mi zarzucasz?

Piergiorgio zawahał się, nigdy nie lubił pytań wprost. Dziewczyna wyraźnie dostrzegła pionowy ruch jabłka Adama.

- Nie wiem... – zawtórował jej po dłuższym milczeniu, lecz patrzył na nią z wyrzutem.

Maria posunęła się o kilka kroków w jego stronę, bezbronna i rozbrajająca zarazem w pizamie z żółtej flaneli, zadając wszystkie pytania jednym tchem, jakby w obawie, że nie powtórzy się okazja otrzymania odpowiedzi.

– To dlaczego traktujesz mnie tak, jakbym zawiniła? Co źle zrobiłam? Co ci zrobiłam?

Piergiorgio milczał, patrząc, jak podchodzi do łóżka. Po chwili wyszeptał oschle:

– Nic mi nie zrobiłaś. Co ty masz z tym wspólnego? Wszystko przez nią.

– No, właśnie, co mam z tym wspólnego?

Maria pospiesznie usiadła na brzegu łóżka, z rozmysłem naruszając przestrzeń, której Piergiorgio, wciśnięty w róg, strzegł wzrokiem. Nigdy nie była ostrożna ani też nierozważna jak w tej chwili, czuła jednak, że oto nadarza się niepowtarzalna okazja, której nie może przepuścić. Nie przewidziała natomiast ryzyka, jakie mogło się z tym wiązać. W milczeniu patrzyła w jego zmieniające wyraz niebieskie oczy. Spojrzenie chłopca stało się teraz obojętne, zagubione, niebezpiecznie nieobecne. Kiedy sięgnął ręką do wyłącznika, żeby zgasić światło, Maria go nie powstrzymywała, a nagle ciemności zaparły im dech w piersiach jak popołudniowy bieg po parku.

Milczała dłuższą chwilę, nie chcąc go onieśmielać, po czym dał się słyszeć głos Piergiorgia. Mówił szeptem, jakby podejmując przerwana rozmowę, która tak naprawdę nigdy się nie rozpoczęła. Początkowo Maria nie potrafiła doszukać się sensu w opowieści o kryjówkach i bieganiu dzieci, po chwili słowa chłopca stały się tak jasne, że rozświetliły ciemności faktami, których nie dało się słuchać, a jemu trudno było opowiadać. Wcale nie miała pewności,

że Piergiorgio chce, by go wysłuchała. Odnosiła wrażenie, że zgasił światło, aby zapomnieć o jej obecności, nie odezwała się więc słowem.

W ciemnościach Maria wyobraziła go sobie jako małe dziecko ze znacznie jaśniejszymi włosami podczas zabawy w chowanego z innymi dziećmi, pod nieuważnym okiem jego pierwszej opiekunki. W miarę przywoływania wspomnień głos Piergiorgia stawał się coraz cichszy i słabszy, jak u dziecka, które schowało się wśród drzew nad rzeką, czekając z duszą na ramieniu, aż koledzy zaczną go szukać, a on wyskoczy jak z procy i podbiegnie do wyznaczonego drzewa, krzycząc głośno: „Raz, dwa, trzy, zaklepałem się!”. Zawsze potrafił się dobrze ukryć, nawet w domu, gdzie rodzice szukali go niekiedy całymi godzinami, jeśli nie chciał, żeby go znaleźli. Tym razem koledzy również nie mogli go znaleźć, ponieważ trudno go było dostrzec w krzakach nad rzeką, a jeszcze trudniej dogonić z powodu ich krótkich nóg. Ale dla dorosłego o uważnym spojrzeniu i silnych nogach, który potrafił czekać i szukać, ta sprytna kryjówka na brzegu rzeki była wygodnym, dobrym miejscem do zabawy. Piergiorgio jeszcze nie wiedział, że w kryjówkach dorośli nie bawią się z dziećmi w chowanego.

Gdy opiekunka wdała się w pogawędkę z innymi dziewczętami, którym płacono za opiekę nad dziećmi, a te bawiły się w chowanego w promieniach słońca rzucającego na ziemię migotliwe cienie drzew, Piergiorgio Gentili, trzymany przez dorosłego, zniknął w krzakach, skąd nikt nie odprowadził go z powrotem. Dziecko, które po wielu godzinach znaleziono nad rzeką, straciło zdolność ukrywania się, przytulania, zaufania innym. Rodzice sądzili, że to z powodu upadku, prawdopodobnego poślizgnięcia się nad rzeką, uderzenia głową, na skutek którego leżało nieprzytomne aż do

zachodu słońca, albo też ze strachu przed śmiercią, który odczuwają wszystkie dzieci, kiedy się zgubią, próbując się ukryć, i nikt ich nie szuka. Marta Gentili niezwłocznie zwolniła opiekunkę, Piergiorgio szybko zapomniał jej imię. Od tej pory jemu i siostrze zabroniono bawić się w parku, nad rzeką lub w innym miejscu poza domem. Piergiorgio nie powiedział ani ojcu, ani matce, że to, co nigdy nie powinno się stać, już się stało. Przez dziesięć lat nikomu o tym nie mówił, dopiero tej nocy, kiedy opowiedział wszystko Marii w ciemnym pokoju, oparty plecami o wezglowie, będąc myślami w krzakach nad rzeką, we wspomnieniu, które miało zapach mułu i potu dorosłego.

Maria nie pamiętała, w którym momencie opowieści wstała i przytuliła Piergiorgia ani w którym dokładnie momencie opowiadanego koszmaru położyła się obok niego, nie przerywając mu, on zaś nie pamiętał, kiedy dokładnie dał ujście cichym, niewinnym łzom. Dzień zaskoczył ich pogrążonych w śnie bez winy, mocno przytulonych do siebie, gdzie on w końcu się odnalazł, ona zaś zgubiła.

Od tej chwili nastawienie Piergiorgia do Marii uległo gruntownej zmianie – stał się dla niej miły, niemal troskliwy. Nie odpowiadał już monosylabami, co więcej, odzywał się do niej niepytany, pomagał nosić wyprasowaną bieliznę, otwierał jej drzwi, kiedy dźwigała torby z zakupami, a przy stole – ku zdumieniu domowników – podawał jej wszystko, zanim poprosiła. Uprzejmość syna przyjemnie zaskoczyła Attilia Gentilego, który jego pierwsze młodzieńcze porywy uznał za oznaki przedwczesnej dojrzałości. Zaskakująca odmiana charakteru Piergiorgia zaniepokoiła natomiast jego matkę, przede wszystkim zaś Annę Glorię, która na widok jego fascynacji Marią odczuwała nieznaną dotąd zazdrość.

Zaledwie uświadomiła sobie, że coś się zmieniło, natychmiast zerwała porozumienie łączące ją z sardyńską dziewczyną. Z im większą troskliwością odnosił się do Marii jej brat, tym większą niechęć okazywała jej dziewczynka, nie chcąc, żeby nadal była jej opiekunką. Natomiast Maria nie zwracała uwagi na reakcję Anny Glorii, więcej uwagi poświęcając Piergiorgiowi, który ze względu na swój wiek nie wymagał już opieki. Maria w istocie nigdy się nim nie opiekowała – obydwójce o tym wiedzieli.

Po raz pierwszy stwierdziła, że chłopiec staje się mężczyzną, kiedy uświadomiła sobie, że jego dziecięca uroda ustąpiła miejsca wyrazistym rysom twarzy, a ramiona z dnia na dzień stały się szerokie, kiedy dostrzegła naturalny, młodzieńczy wdzięk, dotychczas słabo widoczny. Drzwi między pokojami przestały być rysunkiem na tapecie, noc wypełniły się szeptami i śmiechami, tłumionymi rozważą dwójki osób, które doskonale wiedziały, że tego, co robią, nie można uznać za całkiem niewinne.

Choć nie mieli przed sobą tajemnic, dochowywali tajemnicy. To, czego nie mogli wyjawić, widać było rano przy śniadaniu, kiedy zarówno Piergiorgio, jak i Maria mieli podkrążone od bezsenności oczy, na które padał nieuważny wzrok rodziców oraz wrogie, badawcze spojrzenie Anny Glorii, chrupiącej herbatniki z rosnącą wściekłością. Maria coraz rzadziej ruszała się z domu, a kiedy wychodziła, nie wkładała już gazet pod płaszcz, płonąc namiętnością, którą rozpoznałaby, gdyby nie zaślepienie, nie pierwszy bowiem raz rozpaliała jej krew w żyłach. Rozsądek odzyskiwała jednak zawsze z opóźnieniem, także tym razem.

W zachwyconych oczach Piergiorgia była piękna, czuła się więc piękna jak nigdy dotąd, jak owego dnia, kiedy włożyła na głowę koronę z chleba w pachnącym pokoju matki, stojąc przed lustrem

w drzwiach szafy z odsłoniętymi piersiami i złotym łańcuszkiem na szyi, podobna do damy z portretu. Mąż jej siostry nigdy jej takiej nie widział, Andriá Bastíu kochał w niej to, dzięki czemu czuł się bezpiecznie, nie wyjawili sobie żadnych ohydnych tajemnic, ponurych jak noc, Maria nigdy nie wahała się dotykać jego dłoni w obawie przed podnieceniem, które ją ogarniało, gdy czuła bliskość Piergiorgia. Zawsze wiedziała, że jest kobietą, ale zrozumiała to dopiero teraz dzięki Piergiorgiowi Gentilemu, w którego każdym spojrzeniu kryła się namiętność jego szesnastu lat.

W miarę upływu czasu, wyczuwając niebezpieczną wrogość Anny Glorii, stali się ostrożniejsi i bardziej skryci, starali się unikać sytuacji, które mogłyby doprowadzić do odprawienia Marii z domu, gdzie jej obecność była już właściwie zbyteczna. Nocą widywali się rzadko, zwykle przez kilka minut, czujni jak złodzieje, aby przypadkiem się nie dotknąć, po czym wracali do swoich łóżek, dręczeni poczuciem winy, że przez cały czas pragnęli siebie nawzajem. Maria wiedziała, że wystarczyłby jej jeden gest, aby posunąć się za daleko, starała się więc tego uniknąć, rekompensując rozłąkę innymi drobnymi poufałościami. Obydwoje wydawali się rozumieć, że w wyniku instynktownego poszukiwania siebie w porze snu stawali się oddzielnym bytem w ekosystemie domu, organizmem zbyt wrażliwym, aby narażać go na chorobę, ulegając namiętności.

Ostrożność ocaliła Marię na wiele sposobów, ale początkowo tego nie rozumiała. Była zbyt skupiona na uświadamianiu sobie, że ich nocne wizyty miały wpływ nie tylko na dawne przeżycia Piergiorgia, ale też na jej przeszłość. Gdy on najwyraźniej otrząsnął się po bolesnych doświadczeniach, w niej bezwiednie budziły się



wspomnienia, łącząc się w pozornie nielogiczną sekwencję. Wiele rzeczy, które pozostawiła za sobą z chwilą, gdy wsiadła na statek do Genui, powracały jedna za drugą jak kawałki drewna wyrzucone po burzy na morski brzeg.

Maria po raz pierwszy zrozumiała, że zachodzi w niej zmiana, kiedy pewnej nocy wracała do swojego pokoju, wolno stawiając bose stopy. Wykładzina, po której stąpała, nieoczekiwanie przypomniła jej rudą, twardą sierść Mojżesza oraz kolor jego okrągłych oczu. Pierwsze wspomnienia odżyły w jej pamięci zwyczajnie, w wyniku jakiegoś odczucia lub przez roztargnienie, zawsze nagle i zwykle nocą. Później zaczęły powracać w ciągu dnia, kiedy nie mogła uznać za senne złudzenia refleksów słońca w salonie, które przypominały jej oświetlenie w domu Bonarii Urrai. Z wolna powracały kolejno twarze, głosy i miejsca, w których spędziła dzieciństwo; odkryła, że je zamieszkuje, nie pytając o zgodę. Kiedy szła coś w zamyśleniu, powolne ruchy ręki przywodziły jej na myśl hafty wykonane dawno temu w innym domu, na innych tkaninach, lecz nie w innym życiu, choć przez wiele miesięcy za takie je uważała.

Nie zwierzała się ze swoich przeżyć. Była pewna, że nie należało mówić Piergiorgiowi o owych kapryśnych obrazach w pamięci, które inni skwitowaliby pojęciem tęsknoty. Teraźniejszość łączyła się z przeszłością niczym po zawarciu rozejmu, sprawiając, że ciążyła jej skrywana wdzięczność ocalałych. Już dawno temu przestała kraść drobiazgi, które i tak do niej należały, a teraz okazywało się, że znowu musi coś ukrywać, gdyż ich znajomość nie oznaczała i nie musiała oznaczać wzajemnego zrozumienia. W tym przemilczaniu kryło się gorzkie proroctwo, Maria wiedziała, że tylko ona potrafi je dostrzec. Z obawy, że się spełni, poruszała się wokół duszy chłopca jak po piasku, starając się nie pozostawić zbyt

dużo śladów. Za każdym razem, kiedy w ferworze rozmowy przyzywał wieczność lub inne wielkie słowa, coraz lepiej rozumiała, że dzielił ich nie wiek czy pozycja społeczna, ale raczej jego dziecięce jeszcze iluzje, z powodu których myli się to, czego się pragnie, z tym, co się posiada. Dlatego też kiedy opuszczała jego pokój, zamykając za sobą drzwi po ostatnich wyszeptanych słowach, powtarzała sobie w duchu, że musi zrezygnować z mężczyzny, którym stawał się Piergiorgio.

Maria miała świadomość, że jej obecność w domu Gentilich jest tymczasowa, mimo to ugięły się pod nią kolana, kiedy otrzymała list, w którym Regina prosiła ją o niezwłoczny powrót. Składał się z kilku zaledwie linijek: jej siostra miała wiele umiejętności, z wyjątkiem pisania. Po przeczytaniu lakonicznej wiadomości Maria położyła list na szafce nocnej, udając, że go w ogóle nie otrzymała.

Dopiero trzeciej nocy odważyła się pójść do pokoju Piergiorgia, żeby o wszystkim mu powiedzieć, z powodu bliskiego rozstania zapomniała jednak o ostrożności. Nie upewniwszy się, że Anna Gloria śpi, otworzyła drzwi, natomiast ciche skrzypnięcie klamki stanowiło sygnał, na który dziewczynka czekała od tygodni. Kiedy w ciemnościach Piergiorgio dawał upust złości za podjętą przez nią decyzję, w pokoju nagle zapaliło się światło, ukazując ich przytulonych na łóżku w niedbałej i zarazem nader niestosownej pozie w oczach oniemiałych z wrażenia Attilia i Marty Gentilich. Maria i Piergiorgio nie zapewniali o swojej niewinności, jako że z pewnością nie byli niewinni, ukryli natomiast powód przewinienia, na mocy umowy, której nigdy nie musieli zawierać. Następnego dnia Anna Gloria nie uroniła łzy, kiedy zawstydzona Maria schodziła z walizką po schodach. Piergiorgiowi rodzice

zabronili wychodzić z pokoju, nie mógł więc się z nią pożegnać. Pan domu z lodowatym milczeniem wręczył Marii kopertę z zapłata, bez referencji, którą otworzyła dopiero po kilku dniach. Tej nocy, na statku płynącym z Genui do Porto Torres, otworzyła jedynie kopertę z listem od Reginy, ponownie czytając alarmujące zdanie, które do cierpienia po rozstaniu dodawało ciężar odpowiedzialności czekającej ją po powrocie: „Kochana Mario! Wracaj jak najprędzej: Bonaria Urrai miała udar mózgu, chyba umrze”.

## 16

Lampa była zgaszona, lecz Bonaria Urrai nie potrzebowała światła, aby zrozumieć, że Maria siedzi w sali szpitalnej, ukryta w mroku. Trudno powiedzieć, kiedy przyjęła zwyczaj siadania i patrzenia na Bonarię w milczeniu, w ciemnościach – czy miała go od zawsze, czy nabrała w Turynie, w domu, w którym pracowała i o którym wolała nie mówić. Bonaria doszła do wniosku, że nawyk obserwowania osób pogrążonych we śnie Maria przejęła od niej, i chciała jej o tym powiedzieć, wydając przedtem jakiś dźwięk, aby córka zrozumiała, że nie śpi. Coś ją jednak powstrzymało i nie uczyniła tego, podobnie jak za pierwszym razem, zanim czas wymknął jej się z rąk niczym lis nocą.

Za pierwszym razem.

Bonaria zapamiętała, że w sklepie panowała cisza, Anna Teresa Listru z włosami zaplecionymi w warkocz zanurzyła krzepkie dłonie w worku z białą fasolą z Tonary, jakby miała wybierać ziarna jedno po drugim. Zaczęła rozmawiać o jedzeniu ze sklepową i pochodzącą z półwyspu aptekarzową, ubraną w ciemne futro jak kobiety z miasta, i uważnie oglądała różne rodzaje makaronów, wystawione za szybami kredensu.

Wśród trzech kobiet Maria była niczym, jak termin płatności, który musisz zapisać, żeby o nim nie zapomnieć. Nie usłyszała

nawet życzliwych komentarzy, wygłaszanych przez kobiety, kiedy twierdzą, że są zachwycone urodą dzieci innych kobiet. Bonaria, siedząc na worku z bobem w rogu sklepu, czekała na dostawę mleka i przyglądała się zapomnianej dziewczynce, która poruszała się szybko między rzeczami w zasięgu jej wzroku, takimi jak owoce, wiatraczki z kolorowego plastiku, olbrzymi kosz ze świeżym pieczywem, szorstkie kolana matki.

Jedynie stara kobieta dostrzegła, że garść owoców z kosza z czereśniami z Aritzo zniknął między fałdami sukienki Marii, po czym został ukryty w białej kieszonce. Na twarzy dziecka Bonaria nie dostrzegła ani zawstydzenia, ani świadomości czynu, jakby brak reakcji równoważył niedostrzeżenie jej przez otoczenie. Winy, podobnie jak osoby, zaczynają istnieć z chwilą, gdy ktoś je zauważy. Maria z miną niewiniątka przeszła wzdłuż lady, przy której kobiety rozmawiały o rosnących cenach warzyw, po czym wcisnęła się jak owad między siedzenie matki i aptekarzowej, oczarowana jej ciemnym, lśniącym futrem. Przyglądała mu się z rozchylonymi ustami, urzeczona refleksami, które przy każdym ruchu kobiety pojawiały się na błyszczącej powierzchni. Bonaria Urrai domyśliła się, co zamierza uczynić Maria, zanim wyciągnęła dłoń, by popełnić przyjemne wykroczenie. Dziewczynka zanurzyła palce w aksamitnym futrze, jakiego dotąd na nikim nie widziała, dziwiąc się, że sierść zabitych zwierząt może być tak miękka. Ponieważ aptekarzowa nie zareagowała, Maria stwierdziła, że może sobie pozwolić na więcej. Zbliżywszy się do siedzenia utuczonego na cudzych chorobach, zanurzyła twarz w czarnej sierści, chciwie wciągając nosem jej zapach. Dopiero teraz aptekarzowa zorientowała się, co się za nią dzieje, krzyknęła więc zagniewana, kierując uwagę wszystkich obecnych na dziewczynkę.

Bonaria Urrai, leżąc w ciemnościach na szpitalnym łóżku, uśmiechnęła się na to nagłe wspomnienie Marii – silnej, prawdziwej, popełniającej błąd dzieci samotnych. Owego ranka w sklepie nie rozplakała się, kiedy matka szukała słów, żeby wytłumaczyć jej dziki wybryk, ten brak opanowania, który prowadził do kradzieży o wiele częściej, niż można to było usprawiedliwić uczuciem głodu:

– Że też musiałam ją urodzić! W mojej sytuacji trzy córki zupełnie by wystarczyły...

Nawet żal matki z powodu niedokonanej aborcji nie wywołał reakcji Marii. Stała nieruchomo, w błogiej nieświadomości dziecka, które nigdy nie urodziło się naprawdę, podczas gdy na białej sukience, na wysokości prawej kieszonki, zaczęła pojawiać się plama w kolorze skradzionych czereśni. Zdradziecka czerwień rozlewała się jak rana, w niektórych miejscach stawała się niemal czarna. Była jedyną zmieniającą się rzeczą niczym krwawy ślad po pierwszej miesiączce. Sklepową zauważyła ją pierwsza.

– Wzięłaś czereśnie z kosza?

Zaledwie Anna Teresa Listru dostrzegła czerwoną plamę na sukience, wymierzyła córce policzek. Dziewczynka zamknęła oczy tylko w chwili uderzenia, po czym je otworzyła i z nieruchomym spojrzeniem szybko włożyła rękę do kieszonki, w wyniku czego plama stała się jeszcze większa. Zbierało się jej na płacz, ale się pohamowała.

– Giulio, przepraszam, nie wiem, co powiedzieć, dolicz to do rachunku...

– Daj spokój! Zdarza się, to tylko dziecko – zbagatelizowała sprawę sprzedawczyni za ladą. – Ale trzeba przyznać, że ma smykałkę... – dodała ze złośliwym uśmiechem.

Dzięki czerwonej plamie na haftowanej kieszonce Marii Bonaria Urrai uświadomiła sobie, że czas bezpłodności chyba dobiegł końca. Nie minął tydzień, gdy udała się do Anny Teresy Listru, żeby porozmawiać z nią o Marii, którą pragnęła wziąć do siebie jako duchową córkę. Przygotowała niezwykle korzystną ofertę, tak więc wdowie po Sisinniu Listru nie przyszła nawet do głowy odmowa. Ponieważ Bonaria już od wczesnej młodości zajmowała się krawiectwem, doskonale radziła sobie z mierzeniem ludzi. Tym razem także utrafiła: Anna Teresa Listru przyjęła propozycję bez dyskusji i po dziesięciu dniach Maria zajmowała pokój w domu rodziny Urrai, nikt jej jednak nie uprzedził, że czeka ją definitywna zmiana rodziny.

Z perspektywy minionych lat Maria nie potrafiła stwierdzić, do jakiego stopnia ta decyzja zaważyła na jej życiu. Jedyną rzeczą, z którą liczyła się od samego początku, było łóżko, przy którym teraz pełniła swoje obowiązki. Zmęczona udawaniem, że wierzy w sen Bonarii, pochyliła się nad nią, szepcząc:

– Wiem, że nie śpicie. Potrzebujecie czegoś?

Bonaria otworzyła oczy o źrenicach zmętniałych od zaćmy, dostrzegając jedynie niewyraźną sylwetkę Marii. W sali było ciemno od wielu dni, ponieważ lekarze uważali, że ostre światło mogło spowodować ból głowy, jakby problemem Bonarii była migrena. Rozśmieszyło ją to, ale nie mogła się śmiać z powodu wywołanego udarem niedowładu twarzy. Jak powiedział jej doktor Sedda, do uśmiechu potrzebnych jest kilkadziesiąt – nie pamiętała dokładnie ile – różnych mięśni, ona zaś straciła zdolność ruchu niemal wszystkich.

– Wody... – starała się powiedzieć.

Maria zrozumiała ją dzięki wyszeptanym samogłoskom,

przysunęła jej więc do ust szklankę ze słomką. Nie przyszła jeszcze pielęgniarka, żeby podłączyć ją do kroplówki w celu dostarczenia wody do organizmu. Bonaria z wysiłkiem pociągnęła wodę ze szklanki, lecz z powodu niemożności kontrolowania ruchu warg trochę nalało jej się do nosa i wylało na brodę. Głośno zakasłała, gdy Maria starała się ją unieść, żeby ułatwić przełknięcie wody, którą zdołała nabrać w usta.

Bonaria była w tym stanie od dwóch miesięcy. Z powodu jej podeszłego wieku lekarze wątpili w możliwość poprawy.

Powrót Marii na Sycylię nikogo nie zdziwił. „To obowiązek duchowej córki” – mówiono w Soreni, jakby chodziło o przeznaczenie, którego nie da się uniknąć. W rzeczywistości zaledwie kilka osób wierzyło, że wróci. Z pośpiechu, z jakim opuściła wioskę, wnioskowano nawet, że wyjechała, bo zaszła w ciążę z Andrią Bastiú. Tych dwoje zawsze trzymało się razem, a brak jakiegokolwiek dowodu był dla niektórych najlepszym potwierdzeniem. W każdym razie wszyscy myśleli, że między dwiema kobietami zaszło coś, co doprowadziło do zerwania świętego paktu adopcji, w wyniku czego jedna z nich ponownie stała się sierotą bez posagu, a druga bezdzietną wdową.

Tymczasem córka Anny Teresy Listru wróciła, zapewne, żeby spłacić dług w trudnej chwili. Dzięki temu w oczach wspólnoty odzyskała prawo do spadku, którego w przeciwnym razie nie mogłaby dochodzić, i nie było nic złego w przypuszczeniu, że wróciła właśnie dlatego. Jeśli chodziło o spadek, Maria mogła uważać się za szczęściarę. Szczęście dziewczyny nie było jednak związane z wielkością dóbr, które jej się należały, ale z czasem koniecznym do opieki nad starą Urrai, zanim Pan Bóg uzna, że dość już zjadła chleba. Córki niektórych kobiet spędziły najlepsze



lata młodości u boku starych despotek, niemogących się zdecydować na śmierć, i jak na ironię odziedziczyły majątki w wieku, w którym nie miały już żadnych zachcianek. Nie dotyczyło to jednak Marii, jako że Bonaria Urrai była już jedną nogą na tamtym świecie. Nie jadła niczego, co trzeba pogryźć, a na skutek paraliżu prawej części ciała nie mogła się podnieść i zająć higieną osobistą. Maria robiła wszystko z oddaniem córki, a wieczorami stare kobiety na progach domów chwaliły jej poświęcenie, które stopniowo zmieniał się w męczeństwo, czyniąc z niej świętą.

W rzeczywistości Marię, która starała się podchodzić do wszystkiego pogodnie, przerażała myśl, że Bonaria umrze. Stara kobieta zbyt dobrze ją znała, by tego nie zauważyć. Od powrotu dziewczyny nie rozmawiały – zresztą Bonaria nie była w stanie rozmawiać – ale często patrzyły na siebie w ciemnej sali, stwierdzając, że ten sposób komunikowania się oszczędza im wielu nieporozumień. Nadal pamiętały słowa, które sobie powiedziały w wieczór, kiedy rodzina Bastiu opłakiwała Nicolę, ale Maria czekała – choć nie było już nadziei – aż Bonaria zacznie mówić w sposób zrozumiały.

Kiedy cztery miesiące później stało się oczywiste, że nie nastąpi poprawa, stara kobieta została wypisana ze szpitala. Lekarze pozwolili Marii zabrać ją do domu, udzielając wskazówek, jak ma się nią zajmować w stanie, który określili jako stabilny. Oznaczało to, że Bonaria była bliska śmierci. Dziewczyna odrzuciła jednak tę myśl, traktując starą kobietę jako rekonwalescentkę z takim oddaniem, że po kilku tygodniach odzyskała ona zdolność poruszania wargami, mogła wyartykułować proste słowa i powiedzieć, czego potrzebuje. Tymczasem Bonaria Urrai czuła, że

choć miały sobie wiele do powiedzenia, to zapewne już nigdy nie zdołają porozmawiać.

Ponieważ ciężki stan Bonarii się przedłużał, stało się jasne, że należała do tego rodzaju starych ludzi, którzy umierają powoli. O ile dla don Frantziscu Pisu byłoby błogosławieństwem mieć wystarczająco dużo czasu, żeby przed śmiercią porozmyślać i prosić o wybaczenie za popełnione grzechy, o tyle w przypadku accabadory rzecz miała się inaczej. Stary ksiądz odwiedził ją dwukrotnie, bąkając nad jej sparaliżowanym ciałem kilka krótkich modlitw po łacinie, które znał jedynie w połowie. Bonaria doceniła jego dobrą wolę, pozwoliła mu mówić, ale kiedy wyszedł, dała Marii do zrozumienia, że nie życzy sobie ponownych odwiedzin kapłana.

Z czasem przestali ją odwiedzać także ciekawscy, Maria pielęgnowała więc Bonarię sama, od czasu do czasu przychodziła jej z pomocą doświadczona Giannina Bastiu. Stara kobieta mizerniała w oczach, mimo to trudno ją było podnieść z łóżka, ponieważ miała tak słabe kości, że przy mocniejszym uścisku groziło jej złamanie.

Po roku opadania z sił Bonaria Urrai weszła w stan agonalny, nie powiedziawszy Marii ani słowa z tego, co pragnęła jej przekazać. Była przytomna, ale mogła porozumiewać się jedynie oczami. Po tym długim czasie nie musiała wykonywać żadnego ruchu, by Maria zrozumiała, czego potrzebuje. Dziewczyna spała w pokoju Bonarii, wstawiała w nocy, upewniając się, że żyje, po czym uspokojona wracała na łóżko polowe.

Jednej z tych nocy Bonaria zaczęła krzyczeć. Z jej ust dobywały się nie tyle krzyki, ile raczej jęki bezbrzeżnej rozpacz. Kiedy Maria podniosła się z łóżka, natychmiast zrozumiała, że stara kobieta nie domagała się wody. W ostatnich tygodniach bóle się nasiliły, a jej ciało stało się tak wątłe, że wystarczyłby zwykły

masaż, by połamać kruche kości. Bardzo cierpiała, a choć do tej pory nie narzekała, teraz była najwyraźniej u kresu wytrzymałości. Rozszerzone źrenice rozpaczliwie szukały Marii. Dziewczyna zrozumiała, że staruszka jest o wiele słabsza, niż sądziła. Nie mogła znieść jęków umierającej kobiety – pierwszej nocy musiała wyjść z pokoju, żeby ich nie słyszeć. Następnej nocy przełamała się jednak i została, próbując pomóc Bonarii, jak umiała. Na próżno, trzeciej nocy Maria rozplakała się, siedząc na swoim łóżku. Przybrana matka słyszała jej płacz i jęknęła tak głośno, że Maria podejrzewała, iż zmarła z wycieńczenia – życzyła sobie nawet, żeby tak było. Następnego ranka stara kobieta żyła, cierpiąc nadal. Po dwóch tygodniach męczarni dziewczyna zrozumiała, co miała na myśli Bonaria Urrai, kiedy przed trzema laty powiedziała: „Nie byłabym taka pewna, nie zażegnuj się”.

# 17

Ochrona lub wina. Z tych dwóch powodów w Soreni umierało się w męczarniach, lecz Maria nie wiedziała, który z nich nie pozwalał Bonarii Urrai odejść z tego świata. Nękana wątpliwościami, postanowiła uczynić najpierw to, co uznała za konieczne. Podobnie jak przed wieloma laty Bonaria, usunęła z półek statuetki serca Jezusowego i mistycznego baranka, wyniosła też kropielnicę z płaskorzeźbą przedstawiającą świętą Ritę. Ze ścian pokoju zdjęła obrazki o tematyce religijnej, wyjęła święte obrazki spomiędzy kartek książek i z szuflad, odwiązała z klamek wszystkie zielone wstążki, usunęła z kątów kawałki rogu, chroniące przed złymi duchami, ale przede wszystkim wyniosła poświęconą palemkę z Wielkiego Tygodnia, zawieszoną za drzwiami, która choć wysuszona na wiór, nie była nieszkodliwa. Bonaria nie nosiła szkaplerzy ani innych przedmiotów mogących ją zatrzymać, z wyjątkiem łańcuszka od chrztu, który Maria delikatnie zdjęła z szyi staruszki, bez znaku protestu z jej strony. Po oczyszczeniu pokoju czekały. Przez dwa tygodnie Bonaria, która wyglądała jak szkielet, nadal żyła w zawieszeniu między życiem a śmiercią.

W miarę upływu czasu Maria, czując się zupełnie bezsilna, doszła do wniosku, że powodem, który utrzymuje przy życiu Bonarię Urrai, nie jest ochrona. W noc, kiedy to zrozumiała,

usiadła na krześle przy łóżku starej krawcowej, patrząc na nią w milczeniu. Po kilku minutach Bonaria otworzyła zamglone oczy i utkwiała w niej wzrok.

– Co mam zrobić? – spytała Maria szeptem.

Stara kobieta starała się coś powiedzieć, ale z jej ust dobywał się jedynie ciężki oddech. Dziewczyna uklękła przy łóżku, opierając łokcie o koc przesycony ostrym zapachem starości, mocniejszym niż zwykle. Po chwili odezwała się, z rozmysłem cedząc słowa:

– Pokutujecie za coś, co uczyniliście, ciociu.

Bonaria zamknęła oczy, udając, że śpi, w co Maria nawet przez chwilę nie uwierzyła. Wzięła ją za rękę.

– O kogo chodzi?

Powieki pozostały zamknięte, ręka, którą trzymała Maria, nie poruszyła się. Dziewczynie przyszło na myśl, że Bonaria tak właśnie będzie wyglądać w chwili śmierci.

– Nie możecie odejść, bo macie zobowiązania, ale tylko wy o nich wiecie. Mogę odwiedzić wszystkie domy, prosząc o wybaczenie w waszym imieniu, a kiedy to wszystko się skończy, będę wiedziała, że byłam we właściwym miejscu.

Stara kobieta zareagowała na te słowa jak na groźbę, szeroko otwierając zamglone oczy, żeby ponownie wbić wzrok w adoptowaną córkę. Ręka zacisnęła się niezwykle energicznie, a Maria, nie spodziewając się podobnej reakcji, uznała ją za potwierdzenie. Dlatego też dodała:

– Zacznę od rodziny Bastíu.

Bonaria Urrai wydała chrapliwy odgłos podobny do krzyku. Chcąc ją zrozumieć, Maria nadal klęczała przy łóżku.

– Nie chcecie?

Stara kobieta lekko poruszyła głową na znak przeczenia.

– Nie rozumiecie, że z tego powodu nie możecie odejść w spokoju?

Bonaria patrzyła na Marię, nie dając jej innych znaków poza stanowczym spojrzeniem, w którym nie było śladu wyrzutów sumienia. Jej zdecydowanie spowodowało chwilowe odwrócenie ról – Maria poczuła się tak, jakby to ona była sparalizowana. Delikatnie wypuściła jej dłoń, uwalniając własną rękę z kurczowego uścisku kobiety.

Przez kilka dni Maria udawała, że ich rozmowa nie miała miejsca, opiekując się Bonarią ze zwykłym oddaniem. Myła ją, karmiła, czesała jej cienkie, przerzedzone włosy, mówiąc o pogodzie i opowiadając nowości z wioski, jakby staruszka kiedykolwiek się tym interesowała. Kobiecie dokuczały skurcze i inne bóle, zwłaszcza nocą, lecz te cierpienia nie wycieńczyły jej organizmu w sposób ostateczny. Bonaria Urrai mimo wszystko nadal żyła.

Kiedy nadeszła odpowiednia chwila, Maria powróciła do tematu, podając Bonarii ostatnią łyżeczkę ugniecionej na miazgę gruszki. Kobieta, pozbawiona apetytu, odmówiła połowy porcji. Dziewczyna wiedziała, że przed upływem godziny zwróci drugą połowę na śliniak, który celowo położyła jej pod brodą.

– Myśleliście o tym, co wam powiedziałam? – spytała, odstawiając talerzyk na szafkę nocną.

Stara kobieta nie udała, że nie rozumie; przeciwnie, jej trwanie w bezruchu było oznaką zgody.

– Ciociu... – wyszeptała Maria, przysuwając się do łóżka. – Nie mogę patrzeć, jak cierpicie. Jeśli mogłabym jakoś wam pomóc...

Bonaria z trudem wzięła ją za rękę, ściskając ją na tyle, na ile pozwoliły jej siły. Nie był to mocny uścisk, lecz miał w sobie coś z obłędu, co ścisnęło Marię silniej niż imadło. Kobieta próbowała coś powiedzieć, więc dziewczyna nachyliła się, żeby usłyszeć jej

słowa. Na policzku poczuła słaby oddech, jakby delikatne muśnięcie, nie usłyszała jednak ani słowa. Próbowwała poszukać sensu oddechu w oczach Bonarii, ale z chwilą, gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, pożałowała, że zapragnęła ją zrozumieć. Kobieta wpatrywała się w Marię intensywnie, zmuszając ją do odwrócenia wzroku.

– Proście mnie o to, co mogę zrobić – wyszeptała przerażona.

Upewniwszy się, że nie otrzyma odpowiedzi, oddaliła się z talerzykiem w dłoni, kierując się w stronę kuchni z sercem bijącym jak oszalałe.

Wieczorem udała się do domu Bastíu, żeby zobaczyć się z Andrią. Po jej powrocie z Turynu widzieli się kilka razy, odnosząc się do siebie z ostrożnością ludzi okradzionych, niezdolnych do odzyskania dawnego zaufania, które pozwoliło im wspólnie popełnić straszne zbrodnie, jakimi potrafią splamić się dzieci, zanim da się im do zrozumienia, że nie zrobiły nic złego. Choć Giannina czasem przychodziła, żeby pomóc przy Bonarii, od śmierci Nicoli Maria nie postawiła stopy w ich domu.

Andriá nie wyglądał na zaskoczonego odwiedzinami Marii, witając się z nią z nieskrywaną niechęcią. Był o wiele wyższy, niż go zapamiętała, ze śladem zarostu na twarzy, który nadawał mu wygląd pirata, całkowicie niepasujący do niezmiennie łagodnych oczu. Ta myśl dodała jej odwagi, powiedziała więc, po co przyszła, a kiedy skończyła mówić, Andriá podniósł się gwałtownie z krzesła i wsunął ręce do kieszeni dzinsów.

– Poprosiła cię o to?

– Przecież nie mówi...

– Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dała ci do zrozumienia, że chce, abyś to uczyniła?

Maria zawahała się, ale nie miała zamiaru kłamać.

– Nie, przeciwnie. – Po czym dodała: – Ale jestem pewna, że cierpi właśnie z tego powodu.

Andriá energicznie pokręcił głową i spojrzał poważnie na Marię, dając do zrozumienia, że się z nią nie zgadza.

– To nie ma sensu, a ty zachowujesz się jak zabobonna baba. Bonaria nie umiera, bo jeszcze nie wybiła jej godzina.

Na te stanowcze słowa Marię ogarnęło zniecierpliwienie, więc i ona podniosła się z krzesła. Przypominali parę psów zamkniętych w klatce, które czekały na pretekst, żeby skoczyć sobie do gardeł. Maria była jednak słabsza, dobrze o tym wiedziała.

– Może na twój widok coś powie... Odwiedź ją!

Mimo że z głosu dziewczyny przebijała rozpacz, Andriá nie okazał współczucia. Widząc jego surową minę, Maria doszła do wniosku, że kłamstwem jest stwierdzenie, iż czas leczy rany.

– Pobył w Turynie źle na ciebie wpłynął, moja droga Mario. Stałaś się arogancka w stosunku do win innych osób. Nie przyszło ci do głowy, że może nie ma czego wybaczać?

Maria, która poczuła się urażona, spojrzała na Andrię ze zdumieniem, otwierając usta, żeby coś powiedzieć, ale chłopak mówił dalej:

– Jesteś taka pewna siebie... ale może się mylisz, w niebie nie osądza się według twojej miary.

– Myślałam, że zrozumiesz... był twoim bratem!

– Oczywiście, że tak. I chciał umrzeć.

Popatrzyli na siebie, na twarzy Marii malowało się niedowierzanie, twarz Andrii była surowa, pełna napięcia.

– Ty też się zmieniłeś. Wtedy nie mówiłeś w ten sposób.

– Wszyscy dojrzewają. A co, myślałaś, że zawsze będziesz



najmądrzejsza?

Towarzysz lat dziecinnych gdzieś zniknął, miała przed sobą obcego człowieka o mściwym, zimnym spojrzeniu. Czuła się przygnębiona, przede wszystkim zaś głupia.

– Niepotrzebnie przyszedłam. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam, przepraszam...

Wyszła w milczeniu, a on nie odprowadził jej nawet do drzwi, siedząc na twardej kanapie w salonie, gdzie ją przyjął. Celowo wybrał pokój przeznaczony dla gości, męczących odwiedzin i czuwania przy zmarłym, o ile zaszła potrzeba.

Kiedy Bonaria usłyszała odgłos otwieranych drzwi, na myśl, że Maria może nie być sama, poczuła słaby przypływ adrenaliny, jaką jej organizm był jeszcze w stanie wydzielić. Ale drzwi się zamknęły i weszła tylko przybrana córka z zawiedzioną miną. Wieczorem przygotowała sobie kolację, którą zjadła przy kominku, po czym weszła do pokoju Bonarii, żeby sprawdzić, czy działa kroplówka. Kiedy zmieniła ją przy słabym świetle lampy, stara kobieta nie dała żadnego znaku, że to zauważyła. Potem Maria poszła do swojego pokoju, gdzie wypłakała całą złość i ból. Płakała tak długo, że zdążyła zapomnieć, czy powodem jej rozpaczki była agonizacja Bonarii, czy dawne przeżycia.

Tydzień później Bonaria Urrai zapadła w śpiączkę. Doktor Mastinu oznajmił, że wkrótce nastąpi koniec. Maria nie miała nastroju, by mu przypomnieć, że to samo mówił przed sześcioma miesiącami. Don Frantziscu spytał Marię, czy ma udzielić ostatniego namaszczenia, ale ze sposobu, w jaki powiedziała, że da mu znać w odpowiednim momencie, wywnioskował, że ten moment nigdy nie nadejdzie. Zareagował na to ze skrywanym uczuciem ulgi.

Życie Marii z żywym ciałem Bonarii Urrai było lamentem na jednej nucie, nikt poza nią go nie słyszał. Nadal opiekowała się umierającą kobietą, działając z wizjonerską metodycznością osoby, która wznosi domy, zanim powstaną prowadzące do nich ulice. Wbrew przewidywaniom doktora Mastinu trzy miesiące później Bonaria Urrai nadal była uwięziona w swoim ciele, jakby zawieszona na stalowej nici, ledwie widocznej i mocnej zarazem. Z adoptowaną córką przy boku.

Pewnego dnia, spędzonego na haftowaniu bielizny na wyprawę dla jednej z mieszkańek Soreni i uporczywym pielęgnowaniu nieruchomego ciała Bonarii, Maria nagle zadrżała. Kiedy zakładała czyste poszewki na poduszki kanapy, przyszła jej do głowy straszna myśl. Zwiodła ją miękkość poduszki – nic szczególnego, ale zapewne wystarczyłoby dla słabego oddechu. Obraz trwał krótko, ale był tak wyraźny, że Maria musiała usiąść, ciężko oddychając, przerażona własną śmiałością. Upuściła poduszkę na podłogę i wpatrywała się w nią jak w jadowitego węża. Od tej pory poruszała się ostrożnie przy łóżku, uważając na każdy swój ruch i obawiając się samej siebie. Myśl powracała coraz bardziej uporczywie, podczas snu lub w ciągu dnia, przy wykonywaniu codziennych czynności czy niewinnych gestów kryjących straszliwe możliwości, których nawet nie podejrzewała. Zaczęła się bać przebywania nocą w pokoju Bonarii. W kolejnych tygodniach coraz bardziej oswajała się z myślą, żeby położyć kres niewoli ich obu, nie traktując jej już jak świętokradztwo, ale raczej jako zarysowującą się możliwość.

W domu Gentilich, podczas nocnych rozmów z Piergiorgiem, Maria zrozumiała, że rzeczy, które się zdarzają, nie są niczym innym jak parodią myśli. Odkąd Bonaria Urrai zapadła w śpiączkę,

Maria zabiła ją dziesiątki razy, ale nikt tego nie zauważył, nawet lekarz, który regularnie przychodził, żeby sprawdzić stan żywego ciała w stadium rozkładu. Kiedy pewnego czerwcowego poranka Maria poszła otworzyć drzwi, była pewna, że ujrzy doktora, a nie wysoką, potężną sylwetkę Andrii Bastíu.

– Cześć – powiedział, stojąc na progu.

– Cześć... – odparła, patrząc na niego, zbyt zaskoczona, żeby okazać wrogość.

– Mogę wejść? – Pytanie Andrii przypomniało jej o zasadach dobrego wychowania.

– Ależ oczywiście, przepraszam. Wejdz, tyle że...

– Nie spodziewałaś się mnie – stwierdził spokojnym tonem.

Maria zaprosiła go do kuchni, gdzie Andriá jak dawniej skierował się do miejsca przy kominku, obok Mojżesza, który spał spokojnie na podłodze. Stał obok psa, ale nie usiadł.

– Usiądź, zrobię kawę – powiedziała, wskazując krzesło.

– Daj spokój, nie przyszedłem na kawę.

– To po co? – spytała, przyglądając się mu.

Jedyny syn Bastíu poruszył się nieznacznie na krześle, po czym wskazał na korytarz.

– Żeby ją zobaczyć.

Na te słowa Maria na krótką chwilę wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu.

– Teraz chcesz ją zobaczyć...

– Zgódź się, proszę.

Andrii najwyraźniej przeszła złość, jakby wyładował ją owego wieczoru przed Bożym Narodzeniem, kiedy Maria poszła do niego z prośbą, żeby odwiedził Bonarię. Westchnąwszy ciężko, przytaknęła skinieniem głowy, po czym Andriá poszedł za nią

korytarzem, dotrzymując jej kroku. W pokoju panował półmrok, mimo że Bonarii nie drażniło już ani światło, ani ciemności. Ciało zredukowane do podstawowych czynności było tak drobne, że odnosiło się wrażenie, iż łóżko za chwilę je pochłonie. Andriá zatrzymał się na progu, spojrział na Marię, jakby czekał na znak, po czym podszedł do łóżka starej kobiety. Dziewczyna nie sprzeciwiła się, nawet kiedy pochylił się nad żywym trupem. Chłopak nie usiadł przy łóżku, lecz uklęknął na dywanie, żeby być bliżej, jakby pragnął lepiej widzieć umierającą kobietę. Maria, działając pod wpływem impulsu, chciała zostawić go samego i wyjść, ale Andriá to zauważył.

– Zostań – oznajmił; żadne z nich nie zdziwiło się, że to on wydał polecenie.

Maria nie odezwała się, stojąc przy drzwiach, podczas gdy Andriá patrzył w milczeniu na wychudłą twarz accabadory z Soreni. Następnie pochylił nisko głowę, ale nie dotknął nią koca, jakby w obawie przed zmiążdżeniem kruchego ciała, dając dowód czułości, którą dziewczyna uważała za bezpowrotnie utraconą. Trwali tak przez jakiś czas, ona stojąc i patrząc, on na klęczkach, pogrążony w milczeniu. Następnie Andriá wstał, lekko dotykając nieruchomej dłoni kobiety w śpiączce. Maria otworzyła drzwi i obydwójce wyszli z pokoju, nie zamieniając słowa.

– Dziękuję – powiedział, stojąc na progu.

– Nie ma za co... – odparła ku własnemu zaskoczeniu, rozbrojona jego łagodnym tonem. – Jeśli będziesz miał ochotę ją odwiedzić...

Pokręcił głową.

– Nie, dziękuję, wystarczy, że teraz ją widziałem. Ale jeśli ty będziesz miała ochotę wyjść, przewietrzyć się... – urwał, odczuwając zakłopotanie – ...krótko mówiąc, wiesz, gdzie mnie

szukać.

Maria uśmiechnęła się do niego, a kiedy zamknęła za nim drzwi, poczuła ulgę. Pod tajemniczym wpływem wizyty Andrii myśl, która dręczyła ją od tygodni, przestała być jedynie możliwością, stając się nieodwołalną decyzją. Weszła do pokoju Bonarii, wzięła z fotela poduszkę, po czym zbliżyła się do łóżka, przekonana, że nie powstrzyma jej poczucie winy. Być może czuły gest Andrii sprawił, że zanim przeszła do czynu, pochyliła głowę ku twarzy starej kobiety, dotykając ustami jej policzka z taką delikatnością, jakiej nie okazała jej od powrotu do domu.

Pewne rzeczy się wie, i tyle, a dowody są tylko potwierdzeniem. Maria Listru, wiedzona wyraźnym przecuciem, zyskała pewność, że jej matka Bonaria Urrai zmarła.

W następnych dniach wszyscy mieszkańcy Soreni wzięli udział w czuwaniu przy zmarłej accabadorze, na jej pogrzebie nie zabrakło nawet inwalidów wojennych. Anna Teresa Listru obnosiła się z bólem po stracie Bonarii, choć wcale go nie czuła, licząc na majątek odziedziczony przez Marię, której nie uważała już za życiowy błąd, lecz za najlepszą ze wszystkich inwestycji. Natomiast rodzina Bastiu opłakiwała zmarłą ze szczerym żalem, a ksiądz Pisu, odwołując się do swojej ubogiej retoryki, usilnie poszukiwał słów, aby nie powiedzieć, że jego zdaniem kobieta nie powinna być pochowana na cmentarzu.

Zgodnie z naukami Bonarii Maria Teresa Listru nosiła żałobę powściągliwie. Po mszy siódmego dnia od śmierci i dopełnieniu wszystkich obowiązków razem z Mojżeszem poszła po Andrię. W milczeniu przeszli aż do winnicy na Pran'e Boe, do murka, w którym znaleźli przedmioty do rzucenia uroku, mające na zawsze zatrzymać przesuniętą granicę. Rzeczywiście, kamieni nie

przeniesiono na poprzednie miejsce, nic jednak nie było takie jak dawniej. Andriá usiadł na murku, natomiast Maria na ziemi, obok psa, opierając się plecami o kamienie i patrząc na tonącą w słońcu winnicę. Po chwili przymknęła oczy.

Zapach ścierniska, niesiony wiatrem, stawał się coraz mocniejszy, w górze, na niebie, słychać było krzyk ptaków, które za wzgórzami dostrzegały morze. Maria czuła pod plecami nierówne krawędzie kamieni, a Andriá pod siedzeniem, ale żadne z nich nie miało ochoty zmieniać pozycji. Po jakimś czasie dziewczyna podniosła się energicznie z ziemi i przeszła kilka kroków, z twarzą wystawioną na bryzę, która wiała od morza, kołysząc winnicami w dole wzgórza. Wiatr poruszał jej ciemną spódnicą jak w tańcu, ona zaś wciągnęła go głęboko do płuc, wstrzymując oddech. Andriá przyglądał się Marii w milczeniu, po czym spytał półgłosem:

– Jakie masz plany?

– Zajmę się tym, co umiem: krawiectwem.

– A więc zostajesz...?

– Czy kiedykolwiek stąd odeszłam, Andriá? – odparła, odwracając się, żeby na niego spojrzeć.

W jej sylwetce dostrzegł coś, co było mu bliskie, i uśmiechnął się. Wrócili do domu ramię w ramię, tak jak przyszli, nie dbając o to, że po raz kolejny staną się obiektem plotek w Soreni.

# Podziękowania

Dziękuję Giacomowi Papiemu, Paoli Gallo i Dalii Oggero za to, że od razu we mnie uwierzyli.

Wszystkim, którzy pomogli mi przeczytać książkę ich oczami: Albertowi Masali, Fabriziowi Elo Gagliarducciemu, Teo Nakkio Miavaldiemu, Ariannie Giorgii Bonazzi, Riccardowi Nin Turrisiemu, Giulii Blasi, Robercie Scotto Galletcie, Marcowi Volpe Schirrze, Alessandrze Raggio, Toninie Lasiu, Valeriowi JDM Giardinellemu, Marzii D'Amico, don Francescowi Muranie oraz Masowi Notarianniemu.

Alessandrowi Giammei, mojemu cennemu katalizatorowi.

Don Giuseppe Paniemu i don Antiocowi Leddzie za konsultację liturgiczną i antropologiczną.

Marcellovi Fois za wyleczenie mnie ze strachu przed używaniem języka sardyńskiego.

Giuliowi Angioniemu za zmuszenie mnie do pogłębienia wiedzy o accabadorze.

Cioci Peppinie Fròri za wyjaśnienie mi, w jaki sposób przyrządza się affumentu.

Luisowi Pelliniemu za podsuniecie mi pomysłu postaci Nicoli Bastíu.

Benitowi Urgu za ofiarowanie mi swojego talizmanu

i nauczycielce Lucii za przepowiedzenie wszystkiego wcześniej niż inni. Patriziowi Zurru i Daniele Pinnie z agencji Kalama za cudowny sposób, w jaki czuwali nade mną, kiedy pisałam powieść.

Pragnę podziękować wszystkim osobom, które gościły mnie w swoich domach, żebym mogła pisać w czasie podróży, co zdarzało się bardzo często: Silvii Fontanie i Giorgiowi Vannucciemu w Lari, Gennarowi i Enrice Ferrara w Rzymie, Giordanie Melú Bassani w Treviso, restauracji Le Dune w San Giovanni di Sinis, Furrioli Demuru i księgarni Piazza Repubblica w Cagliari.

Szczególne podziękowanie składam mojemu mężowi Manuelowi za to, że odniósł się do mnie ze zrozumieniem.



# Accabadora

## Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[Podziękowania](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału  
ACCABADORA

Wydawca  
*Beata Prokopczyk*

Redaktor prowadzący  
*Elżbieta Kobusińska*

Redakcja  
*Jerzy Lewiński*

Redakcja techniczna  
*Małgorzata Juźwik*

Korekta  
*Irena Kulczycka*  
*Marianna Filipkowska*

Copyright © 2009 Giulio Einaudi editore  
s.p.a. Torino Pubblicato in accordo con  
l'Agenzia Letteraria Kalama

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by  
Hanna Borkowska, Warszawa 2012

Copyright © for the e-book edition by  
Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2012

Świat Książki  
Warszawa 2012

Weltbild Polska Sp. z o.o.  
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

Księgarnia internetowa: [Weltbild.pl](http://Weltbild.pl)

ISBN 978-83-273-0279-3

Nr 90453408



Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)

Accabadora